

Wies

tygodnik społeczno-literacki

Rok VIII

Warszawa, dn. 22. IV. 1951 r.

Nr 16 (299)

JAN ALEKSANDER KRÓL

ROZMOWY WARSZTATOWE

(O zadaniach pisarzy w obliczu narodu socjalistycznego)

Drodzy Przyjaciele, Młodzi Pisarze!

Nasze rozmowy, zaczęte na Zjeździe w Nieborowie, proponowaliśmy przedłużyć na łamach „Wiesi”. Słusznie Nieborów wydał bitwę o kadry najmłodszych pisarzy. Bitwa trwa... Tak wiele postawiliście nam pytań, że na początek odpowiemy na kilka najważniejszych.

Punkt wyjścia został między nami uzgodniony.

1) Przede wszystkim do współczesności!

2) Jak pisał Fajdziej: „W warunkach szybko rozwijającej się rzeczywistości radzieckiej, w pełnej napięcia walce między nowym i starym, nie ma żadnej możliwości pisania, jeśli się nie zna życia do głębi, jeśli się nie idzie krok w krok z życiem z pełną świadomością”.

A czyż nasza polska rzeczywistość nie rozwija się szybko? W r. 1950 przegoniłmy Włochy (przed wojną dwa i pół razy bardziej uprzemysłowione od Polski), w bieżącym roku doganiamy Francję (przed wojną byliśmy od niej 5 razy słabiej uprzemysłowieni). Oto jak rośnie dzwignia polskiej socjalistycznej.

Wyscie Koledzy dobrze zrozumieli, że okres Planu 6-letniego drugiego kalendaryzowych sześć lat. Narod nasz przebiega na ten czas 60 — 100 lat. Zrozumieliście, że miesiące i tygodnie w latach Wielkiego Planu budowy fundamentów socjalizmu to potężne okresy historyczne, jeśli je mierzyć — a tak trzeba — treścią przemian, zwycięstw i osiągnięć.

Zrozumieliście, że jeśli się „nie pójdzie krok w krok z życiem” to mało, że wasze pióro zdążyło się psu na budę, ale, że wówczas „nie ma żadnej możliwości pisania”.

I tu zaczynają się Wasze pytania. Jak poznać życie do głębi i z pełną świadomością?

Rzuciliście przykład. „Kampania znaczy walka”. M. Kowalewski. Powieść o produkcji. Pokazana w szczegółach maszynaria cukrowni. Pokazana cała kampania z dnia na dzień, niemal z godziny na godzinę. Cała załoga w pracy, technicy, chemicy i dyrektory. Widać, że autor zna się na rzeczy „detalesznie”. A przecież nie signals w życie do głębi. Przyczajcie uwagę! C. Putrament: „Powieściak niesłychanie dużo miejsca, opisowi techniki produkcyjnej, redukuje Kowalewski postacie działające do jednej tylko strony — udziału w produkcji i w współzawodnictwie socjalistycznym... Daremnie bismy na podstawie fabuły powieściowej próbować kłaskać umieszczać w czasie i przestrzeni. To nie Polska zaciętej walki klasowej... ale jakaś idylliczna kraina, w której największym wrogiem jest nieświadomości sobok, zużyte mechanizmy fabryczne oraz szanująca tu i ówdzie organizacja”.

Chytrzy wasz przykład i jeszcze chytrzejsze pytanie. Bo powiadacie tak: Jeżeli pierwszym nowatorskim zadaniem pisarza jest odkryć coś nowego w życiu, to znaczy w życiu społecznym i historycznym, to co powinniśmy odkryć, gdybyśmy ponownie wzięli na warsztat cukrownię... „z pełną świadomością”, jak pisał Fajdziej?

Spróbujemy Wam odpowiedzieć. Formalnie w powieści Kowalewskiego czas jest oznaczony. Rok 1948, kampania jesienna. Akurat, kiedy w Partii zostało przezwyciężone odchylenie prawicowe i kiedy się zbliżał termin zjednoczenia.

„Ale Putrament mówi: „to jakaś idylliczna kraina”, w nieokreślonym czasie i nieokreślonej przestrzeni. I tak jest i Wy to również podkreślacie. A nie pilnować tropów historii i nie z tworzyć historii wydobyc problem, fabułę i postacie, to znaczy niewiele odkryć w życiu”.

Owszem, z historii naszych porowolucyjnych dni wziął sobie Kowalewski do serca znaczenie produkcji, współzawodnictwa i techniki przemysłowej. Ale jak i gdzie? „Fabryka szumiała, obracały się tryby i koła pasowe, po tysiąc czterysta pięćdziesiąt obrotów na minutę robiły wirniki obrotów elektrycznych, na transporter spadała krajanka” itd. aż do pełnego przeglądu całej aparatury cukrowni. Dlaczego to nudzi czytelnika, a nawet wystrasza? Bo książka wydaje się być pierwsza z paru tysięcy, w których zobaczymy kolejno maszynę gremplarni, młyn, browar, słowem wszystkich rodzajów i gatunków fabryk. W czym tu błąd? Cukrownia stara do roku 1948 to żaden przełom w technice. Tu nie ma nowych narzędzi produkcji i dlatego problem powieści nie może przede wszystkim dotyczyć techniki. Nie tu tkwi nowe.

A gdzie? Nowe tkwi w tym, że cukrownia stała się socjalistyczną placówką przemysłową w terenie chłopkim.

Cukrownia w okolicy, to więcej, jak młyn i jak tartak. To fabryka przemysłu rolnego. Fabryka w terenie chłopkim, o której wiedzieliśmy przed wojną trzy rzeczy: 1) że właścicielem jest obszar lub miejski kapitalista, 2) że jej główny dostawca buraków to folwark i bogacze wiejsi i 3) że szczęśliwie są te „bidoki” ze wsi, których do cukrowni przyjeżdżo na robotę sezonową.

A czego dokonała nasza rewolucja? Majątki rozparcelowano między chłopów, cukrownie upaństwowiono. Czego twierdziła stała się cukrownia? Twierdziła rewolucji agrarnej w okolicy i żywym symbolem lepszych czasów, skoku stopy życiowej chłopów. Nie brakuje już w chałupie soli, nie „funduje się” sacharyny. Dzieci mają cukr pod dostatkiem. A przecież przed wojną nawet średniacy, pisując do gazet, wciąż powtarzali „dziwne to, żeby żywnie paść cukrem (eksport do szlachetnej demokracji zachodniej — Anglii), kiedy my sami cukru nie używamy, a dzieciom kupujemy niemiecką sacharynę”.

Cukrownia — to cukier i buraki. Kto zatem miał się stać po rewolucji plantatorem cukrowni? Nie pamiętacie namiętnych dyskusji w 45 i 46 roku? Nie pamiętacie opozycji w Centrali Rolnika i w Ministerstwie Rolnictwa za Mikołajczyka? A to majętki państwowe, a to wielomorgow... Bo jak sobie wyobrazić kontraktację z milionem paromorgów gotowy w roli dostawców? Tak się rzecz miała. A parcie chłopów, oddełu, które wydało jedną z pierwszych bitew klasowych; bogaci czy biedni otoczą cukrownię, czyja ona będzie, kogo wydzwignie, kogo pogrzeży? A czujność, rewolucji? Czy jej nie było? I jeśli autor chciał stworzyć węzeł dramatyczny, typowy dla okresu historycznego, to tylko ukazując poprzez cukrownię skutki prawicowego odchylenia, skutki polityki „dobrego gospodarza”. Oto przy- pusmy — z 47 na 48 rok dla „większej, lepszej i pewniejszej” dostawy buraka — produkcja przede wszystkim! — cukrownia oparła tron kontraktacji na kulakach (dobrych gospodarze) i co się dzieje jesienią? Kulacy wstrzymują dostawę po plenum sierpniowym. Rwa kampanie cukrowa. Co się dzieje u małego i średniorolnego? Wrzel Jak socjalizm, jak robotnicy, to my dla cukrowni, nie kulacy!

Ktoś odpowiadał w cukrowni (i wyżej) za ten rok gospodarczy. Ktoś wyprowadził cukrownię z tej drogi. Gdzie tu ci historyczni, rzeczywisti bohaterzy powieści rzeczywistych dzieł i roli cukrowni? U Kowalewskiego robotnicy są bez przeszłości, znikąd. A oni byli z reguły z okolicy i byli tu dawniej. Z nich niejeden awansował do kierownictwa. Na jakiej zasadzie? Znajomości? Produkcji i świadomości politycznej? Jakże można zerwać więź łączącą tych robotników z terenem, zerwać więź cukrowni z dostawcami z okolicy. To bohaterowie „cukrowni”! Jesienią 48 roku został w zasięgu cukrowni zacięśniony sojusz robotniczo-chłopski. Cukrownia bowiem musiała odpowiedzieć na sabotaż kulaków i wrzenie biedoty i odpowiedziała wzięciem zdecydowanego kursu na małorolnych i średniaków.

Trzeba było pokazać, jak z roku na rok małorolni, dla których otwierała się szansa hodowania buraka, udoskonalają produkcję, jak zwracają się w grupach plantatorów, jak biją się w Samopomocy Chłopskiej o nawozy, jak uświadamiają się klasowo, jak zastraszają walkę z kulakami, jak wzmacniają kontrolę i „rządy” nad cukrownią, jak i oni biorą udział w współzawodnictwie, do którego ich popycha interes klasowo-gospodarczy, jak staliśmy w cukrowni przedłużeniem ich ramienia są chłop-robotnicy, jak partia z nimi może mówić i mówi i ubojawia. Jak wzmacnia się w nich duma producentów, do której to roli powołała ich dopiero Polska Ludowa, jak wzmacnia się w nich duma żywiciela narodu. Przecież widzą z roku na rok, że cukier mają nie tylko plantatorzy, że w dalszych okolicach, w całym kraju też ludzie piją i jedzą słodko.

Kowalewski pisał: „Tu musi każdy rzeczywistie, czuć się współtwórcą kampanii, współgospodarzem fabryki, odpowiedzialnym za coś więcej niż ten drobny wycinek pracy. Trzeba wszystkich zainteresować sytuacją całości cukrowni, potrzebą jakości, elektryzować”.

„Ale w jego idylli, bez czasu i miejsca jest tylko jeden powód. „Za dzień czy dwa cukrzyca pójdzie do

wirówki... odciek nazwiemy melasą, wypompujemy go do wielkiego zbiornika, potem wysłany w świat”.

Dlatego, Przyjaciele, powieść, biorąc za temat cukrownię, nie odkrywała tego, co wskazałem kierunkowo, a co tu było najbardziej nowe. Czyli co tu się naprawdę działo, a działo się jak wszędzie to, o czym mówił na VI Plenum Prezydent Bierut: naród się przekształcał z burżuazyjnego w socjalistyczny. Nie był to „proces samorodny”, ale organizowany przez twierdzą klasy robotniczej — cukrownię — w terenie. A przemiany, jakie ona wywoływała (i nie tylko ona) wpływały z kolei na treść i jakość pracy cukrowni. Nie można ukazać i wy tłumaczyć współzawodnictwa, nie pokazując kto w nim bierze udział, w jakich ekonomicznych i politycznych okolicznościach i w jakim celu. I nie w tym rzecz, jaką tu przyjął lokalizację, czy w samej cukrowni, czy w okolicy, czy też na powiązanych fabularnie obu scenach. Nawet gdyby pozostać, jak to jest u Kowalewskiego w cukrowni — plantatorzy, okoliczności, robotnicy — wsi, robotnicy z miast, ludzie partii i dzieje pierwszych lat, wszystko to powinno być mieć swoją rolę w cukrowni, wpływać na jej pracę i organizację, bo to był front, wobec którego stanoła po rewolucji cukrownia socjalistyczna, to były dzieje, w których grała ona jedną z kierowniczych ról.

Drugi Wasz przykład: Sztuka Warmińskiego „Zwycięstwo”. Bardzo trafnie odkrył powody, dzięki którym wróg klasowy zarysowywał się bardziej plastycznie w sztuce, niż w rzeczywistości, założyciele spółdzielni produkcyjnej.

W obozie postępu agituje się, w obozie kulackim działa. Ale nie w tym tkwi jeszcze główny błąd sztuki. Kogo się agituje, kogo przekonywa? Otóż ludzi „bez przeszłości”. W biedniakach i średniakach nie widać pięciu lat życia w Polsce Ludowej. Jeśli zdecydowanie się na spółdzielnię stanowi rewolucyjny przełom na wsi, to przecież wywołuje go nie tylko perspektywa nowego, lepszego życia, ale również, ale przede wszystkim to, co już przyciągnęło chłopów do socjalizmu, ta ilość i ta jakość mostów, na których chłop stanął już mocno nogą. Nie bez słuszności pisał „Wsi” korespondent, Gołębiowski. „Kto atakuje?” Rewolucja atakuje i zdobywa pozycję za pozycją. Na jakich pozycjach znajdowali się już chłopcy w Rozgardzie, kiedy zaczęto ich agitować do spółdzielni? Oto podstawowe pytanie, jakie winien był sobie postawić autor. Jak już przemieniło się chłopstwo, skoro je można przyciągnąć do spółdzielni?

Warmiński w sztuce nie odpowiadał na to pytanie, i dlatego nie odkrył nowego, które już zdobyte przez chłopów, już w nich osadzone przyciąga teraz do spółdzielni — dlatego nie skontretyzował pozytywnych bohaterów.

U Warmińskiego problem został postawiony odwrotnie. Kiedy o tre-

ści życia wiejskiego w Nowej Polsce, w warunkach dyktatury proletariatu decydują właśnie dzieje małego i średniorolnych — Warmiński wysuwa na pierwszy plan dzieje kulackie. I rzeczywistość zostaje natychmiast sfalszowana.

Bo nie to rozstrzyga, że kulacy (jeszcze) „trzymają w kieszeni” biedotę, ale, ile jej trzymają i jak? To znaczy, kiedy już część biedoty, (jak wielka i w jaki sposób?), wyzwołała się z niewoli kulackiej, łapią kulacy nowe ofiary? Ale ile, na jakich warunkach i kto komu bardziej zagraża? Manipulują ekonomicznie ze średniakami? Ale rzecz w tym, ilu średniaków już rozwiązało interesy z kulakami, jak się pogłębia między nimi antagonizm klasowy, ilu stanęło w sojuszu robotniczo-chłopskim?

Sięgają kulacy do Samopomocy Chłopskiej, (uprawiając tam „machlojki”), sięgają do okolicznych SOM-ów (wywołując sabotaże gospodarcze). To Watmiński widzi. A ZSCH i SOM-ów w rękach biedoty — tego nie widzi i nie pokazuje.

Dlatego i agitatorzy, i ludzie agitowani w sztuce Warmińskiego są odarci z dziełow przemian, usunięci z drogi, jaką przeszli i z pozycji, na jakie już się wydzwignęli.

W tym momencie naszych rozważań skupiliśmy uwagę na sprawie drogi. Jaką to — drogę przeszli rzeczywisti parcelanci z reformy rolnej w pomorskim Rozgardzie, zanim założyli spółdzielnię „Zwycięstwo”? Przypomnieliście głosy i opinie, wskazujące na to, że bezrolny, który otrzymał ziemię i małorolny, któremu jej dodano, najcenniejszą wzięli kurs na wrastanie w indywidualne gospodarstwo. Krótko mówiąc, 6 milionów hektarów mogło z nadzielenych bezrolnych, małego i średniorolnych uczynić rezerwę burżuazji wiejskiej! Mogło stać się źródłem zapożnionego wybuchu kapitalizmu wśród miliona najbardziej upośledzonych do rewolucji chłopów, a dlaczego się tak nie stało? Dlaczego reforma rolna (w warunkach dyktatury proletariatu) umożliwiła znacznej części pracującego chłopstwa przejście na pozycję rezerwy klasy robotniczej i jak to pokazać w powieści albo opowiada- niach? Do czego trzeba tu sięgnąć? Co odkryć?

Najłatwiej oczywiście jest uchwy- cić moment wstępny. Pokazuje go np. Wł. Machajek w nowej powieści (drukowanej w wyjątkach), jak w toku przeprowadzania reformy rolnej przetrwała ona z aktu antyob- szarniczego w akt również antyku- laci. Kulak, chowający się przed wojną za szyldem ruchu ludowego, za plecami obszarnika, sanacyjno - ozonowej administracji i organiz-acji rolniczych, a w okresie wojny za plecami okupanta — w obliczu rewolucyjnej reformy rolnej zer- wał maskę „reprezentanta wsi” i „naturalnego obrońcy interesów chłopskich” — pokazał otwarcie i wyraźnie swe wilcze kły. Ale straszenie plotką i strzały zą węgla —

Co odkryć?

Najłatwiej oczywiście jest uchwy- cić moment wstępny. Pokazuje go np. Wł. Machajek w nowej powieści (drukowanej w wyjątkach), jak w toku przeprowadzania reformy rolnej przetrwała ona z aktu antyob- szarniczego w akt również antyku- laci. Kulak, chowający się przed wojną za szyldem ruchu ludowego, za plecami obszarnika, sanacyjno - ozonowej administracji i organiz-acji rolniczych, a w okresie wojny za plecami okupanta — w obliczu rewolucyjnej reformy rolnej zer- wał maskę „reprezentanta wsi” i „naturalnego obrońcy interesów chłopskich” — pokazał otwarcie i wyraźnie swe wilcze kły. Ale straszenie plotką i strzały zą węgla —

BRONISŁAW MARCINEK

GŁOS STAREGO CHŁOPIA*)

Gdyby mi kto powiedział: —

„Wróć ci lata młode —

Wszystko, co dawniej było...,

Lecz wyraż na to zgodę!”

„Nie chcę! — odpowiedziałbym —

Umierać zaraz wolę,

Bo nie chcę nowych czasów... —

Na dawną zmienić dole!”

Ja młodość bardzo kocham,

Ja młodość bardzo cenię,

Ale wolności życia

Za młodość nie zamienię!

Wolność jest drogocenna,

Miliony życie dało

W zatknię na tę wolność,

Choć jej nie doczekało!...

„A ci co doczekali,

Niech ją nad wszystko cenią

I niech wolności życia

Za młodość swą nie zmienia!

*) Samorodny wiersz Marcinka jest wypowiedzią uroczystą wyrażającą nową świadomość w starszym pokoleniu chłopów.

W NUMERZE

K. DĘBNICKI — Konające imperium. H. WORCELL — Zona przeciw spółdzielni?
E. GONCZARSKI — Wyszalenie. H. KATZ — Doświadczenia Komuny.
W. UDALSKI, L. BAKUŁA, R. JĘDRASZCZYK — Młodzi pisarze na kursie w Nieborowie.
A. WALICKI — Gogoł nieznanym. K. BARTOSZYŃSKI — „Bez troski humorysta”?
J. POGAN — Orkan okrążony. E. NIZIURSKI — Tak o nauczycielu.
M. WIELGUS — Co czytają robotnicy. J. CZERNI — List ze Szczecina.

nie zatrzymały robotników i chłopów przed dzieleniem ziemi. To był pierwszy etap. Drugi, kiedy o żadnym „przeznaczeniu” Dekretu mowy być już nie mogło — kulak podsuwa wówczas swych synków na miejsce i na ziemiach odzyskanych na najlepiej zagospodarowane parcele. Popiera go Ministerstwo Rolnictwa, tzn. Mikołajczyk, szczęśliwie służy mu osłabiona czujność Partii.

W 1947 roku wznowia się sprawa reformy rolnej poprzez pierwszą większą bitwę klasową między pracującym chłopstwem a kulactwem. Skradzioną przez kulaków ziemią wraca do tych, dla których ją dyktatura proletariatu przeznaczała. Ta bitwa o rewizję nadziału ziemi rychło przerodziła się z końcem roku w pierwszą większą ofensywę pracującego chłopstwa na pozycję kulackie.

Reforma Rolna legła u podstaw nowego życia nie tylko nadzielenych 4 milionów ludności chłopskiej. Wyrwała te 4 miliony z 7-miu milionów przedwojennego rynku bezrobotnych na wsi i upelnorolnilią masę chłopską, dokonała przesunięcia trzonu wsi z grupy biedniaków do średniackiej. Parcelanci za ziemię w wieloletnich ratach mieli zapłacić 20 razy mniej, niż płacono za hektar z parcelacji przed wojną. Dyktatura proletariatu czuwała zatem nad tym, aby nadzieleny nie uległ „wypłukaniu z ziemi” i nie tylko parcelant. Oddzielenie małego i średniorolnych z zobowiązań przedwojennych, a sięgały one, poniżej klasy kulackiej od 25 do 60 proc. w każdym gospodarstwie — było nowym aktem faktycznego przywrócenia własności setkom tysięcy średniaków i małorolnych.

Co to znaczy dla mas chłopskich. Powszechną szansę na rozwinięcie produkcji rolnej, z której ani część przeznaczona na rynek, ani część przeznaczona na wyżywienie będą przynięcione długami starym i nowym Chłop zobaczył, że ma ręce rozwiązane, że przyszłość otwarta. Będzie mógł inwestować i mimo ogromu zniszczeń wojennych, będzie żył i będzie się rozwijał.

A zniszczenia wojenne i straszliwy brak gospodarcze sprzed wojny i konieczność inwestycji pchały małego i średniorolnego do produkcji towarowej, do wyjścia na rynek, tak w roli producenta jak i konsumenta. To było nowe doświadczenie mas chłopskich. Wznowe, bo rozstrzygające i o dalszej poprawie życia i o rozwinięciu się walki klasowej na wsi, w której siłą nacierającą stano się masy małego i średniorolnych.

Rynek przedwojenny, rynek z ostatnich dziesięciu lat przedwrześnia, rynek chłopów dobrze pamiętali. Upraszczając, można powiedzieć, że pamiętali go, jako nieosiągalny i nie istniejący w praktyce dla chłopstwa pracującego.

Bo skoro wartość artykułów rolnych spadła o 40 proc. w latach 1931 — 1937, bo skoro wieś ograniczyła w tym czasie zakupy do połowy... A trzeba pamiętać, że w tych 60 proc. wartości artykułów rolnych panują na rynku wewnętrznym i zagranicznym (na którym sobie dopłacał) obszarnicy i kulacy, a trzeba wliczyć w tę zmniejszoną do połowy konsumpcję wsi rosnącą konsumpcję bogacza wiejskiego, sklepiarkarza i spekulantar, dorabiających się na nędzy mas chłopskich.

Wynika więc z tego obrachunku, że masy małego i średniorolnych były przed wojną spychane ku zamkniętej, samowystarczalnej gospodarce.

Ten kierunek bez filozofii i nauki jasny był dla każdego chłopu. W ankietach „Młodego Pokolenia Chłopów” prawie każdy pisał: „Jestem młody, chciałbym pracować, ale czy jestem ja winien, że pracy w Polsce nie ma?”

To pokolenie po wojnie, w wolnej Polsce, wychodzi na gospodarzy, dostaje ziemię lub uzyskuje oddzielenie ziemi. Jest na czym pracować i jest czego się pracą dobić. O ile... I tu otwierała się ta wężsowa sprawa: gospodarki narodowej i rynku krajowego. Najgorętszym pragnieniem chłopu było znaleźć rynek zbytu i rynek towarów. Czy będzie inaczej niż przed wojną? Rewolucyjny tok przemian szybkiej go po-

stał wobec faktów niż delibercji. Rynek wewnętrzny okazał się otwarty i chłonny na chłopskie produkty. W pierwszym i drugim roku nie było to jeszcze niespodzianką wobec zniszczeń wojennych w rolnictwie, wobec przejściowego obniżenia wydajności u parcelantów nie uzbrojonych jeszcze w narzędzia i sprzężaj, na majątkach państwowych, gdzie stary, poziemski i ekonomiczny aparat sabotował i marnotrawił gospodarkę, wobec trwającego w tym czasie nasiedlenia na ziemiach odzyskanych. Ale już wtedy chłop stał się „od podstaw” wobec klasy robotniczej. Słuchał nie mniej pilnie, niż o reformie rolnej, o nacjonalizacji przemysłu i banków. Wiedział bowiem z przedwojennego doświadczenia, że jak nie rozwija się przemysł, to w mieście kurczy się rynek jego zbytu. To jedno. A drugie — w jego interesie leżało nie tylko produkować na sprzedaż, ale i kupować towary przemysłowe. Czy będą one i dzięki czemu i w jaki sposób?

Wstawała ze zgłiszcz, ruin i zaminiowanych pól gospodarka narodowa, którą zdźwignęła klasa robotnicza i jej partia, która zdźwignęła rewolucja i władza ludowa. W 1945 roku na progu nowego Polski mówił do narodu Prezydent Krajowej Rady Narodowej.

„Nie macie innego chleba, prócz tego, jaki własną pracą wydrzeźcie ziemi. Czynne będą tylko te fabryki, które sami uruchomicie. Praca ciężka, ofiarna, wśród wyrzeczeń — to jedyną, co mogła nam dać wyzwolona ojczyzna”.

Ale ojczyzna została wyzwolona i od najcięższych faszystowskiego i od drapieżnej gospodarki kapitału imperialnego i od własnej klasy kapitalistów i obszarników, dlatego to, nawet nie zawsze i nie w pełni zdając sobie sprawę, „ofiarności, jaką społeczeństwo polskie okazało w pracy, w wyrzeczeniach — mówił Prezydent Bierut w roku 1946 — w tym pierwszym okresie budowy, dorównywała bohaterstwu wykazywanemu w walce”.

A cóż mówić o klasie robotniczej, która stała prawdziwie wśród ruin, zgłiszcz, śmierci i zniszczenia, a miała świadomość odpowiedzialności za losy narodu, miała świadomość tego, że przemysł, serce gospodarki, ona musi rozkołysać w krótkim zawrotnym czasie i tak potężnie, aby okiełznać niższe piętro kapitalizmu, jakie jeszcze pozostało na wsi i w mieście, aby je rugować szybko, o wiele szybciej niż stałe co dzień, co godziną, żywiłowo i w skali masowej odradzać się będzie kapitalizm z drobnej gospodarki.

Przemysł, ta dzwignia lepszego jutra i nowej przyszłości — ruszył. Chłop to widział z roku na rok u siebie w rodzinie, gospodarstwie i na wsi. Przemysł podrzucał mu już w r. 1947 trzy razy więcej nawozów, niż przed wojną, w 1949 r. — 9 razy więcej, maszyn rolniczych 3 razy więcej, dał mu wielkie zamówienia od razu na surowce takie, jak: buraki, oleiste włókniście, kartofle, żywice, skóra itd.

Do roku 1950 liczba ludności zatrudniona w przemyśle, transporcie, handlu i administracji wzrosła z 18,2 proc. (stanu przedwojennego) do 35,9 proc. Zmieniała się zatem struktura klasowa polskiego narodu — po raz drugi. I tu chłop partycypował, z jego to szeregów powiększyła się, urosła szybko klasa robotnicza. Już odeszła poważna część sił zbędnych. A kiedy jeszcze dodać szkoły i masowy podbór młodzieży chłopskiej? Obracając się wciąż w pierwszych latach, sięgając maksymalnie końca planu 3-letniego, a wiadomo, że procesy wskazane, rozwijają się nadal w tempie coraz szybszym, taką dynamikę wyznaczył im „Plan 6-letni, plan budowy fundamentów socjalizmu. Taką była droga małego i średniorolnego chłopu parcelanta i nieparcelanta w pierwszych latach nowej Polski.

„W kraju chłopskim, pierwsi zyskali, najwięcej zyskali, od razu zyskali na dyktaturze proletariatu chłopcy w ogóle...” pisał Lenin w 1919 roku.

„Ale to jest obraz idealny, obraz potencjonalnych możliwości, ponieważ, jak właśnie pisał Lenin — zyskiwały one przede wszystkim” (Dalszy ciąg na str. 2)

ROZMOWY WARSZTATOWE

KAZIMIERZ DĘBNICKI

KONAJĄCE IMPERIUM*)

(Dalszy ciąg ze str. 1)

skali chłopcy w ogóle. Zyskali więc i kulacy. Dlatego masę mało i średniorolnych chłopów na nowotwartej drodze spotykały nowe bariery i pułapki, jakim bogacze i speculanci tarasowali ich i brali w niewolę.

Ograbione wsie z koni i bydła, taki punkt wyjścia w 1945 r., oznaczał dla małych i średniorolnych masowy marsz do pracy odróbkowej u kulałów. Szaber Ziem Odzyskanych stał się — jak pisał J. Tępiach — dla dawnych i nowo upieczonych wyzyskiwaczy nową formą pierwotnej akumulacji kapitału. Miał się traktor, lokomobil, motor, większe maszyny, a byli tacy, co i autobusy odprzedawali. Miasteczka otwierały nęcące perspektywy na handel spekulacyjny. Drobne przedsiębiorstwa przemysłowe wpały, jak nie, w paszczę reklinów wiejskich i małomiasteczkowych, nieraz wprost z resztek Samopomocy Chłopskiej, najpierw w formie dzierżawy, a potem... bo też i do Samopomocy i do gmin i do Stronnictwa Ludowego, nie mówiąc już o PSL-u, dopuszczali mało i średniorolni, po starciu, dawnych działaczy — przedsiębiorców, starych ludowców, którzy mieli za sobą długie dzieje wielokierunkowego kręcenia głową, „gdzie się to komina kurzy”. Oto np. w Powiatowym Radzie Łódzkiej zasiadali tacy ludowcy, którzy w roku 1945 projektowali rozdział nawozów sztucznych wyłącznie między uprawiających „kwalifikowane zboże” i domagali się zwolnienia na najem robotników z miasta do żniw i wykopek, kiedy kluczowe ognio gospodarzy — narodowej, przemysł, trzeba było o głodzie i chłodzie dźwigać ze zgliszcz i ruin, aby technicy w nie życie. I nawozy i robotnicy na pola do kulałów, a przemysł niech stoł! W 1946 r. mikołajczykowska „Gazeta Ludowa” wypowiadała się jeszcze bardziej cynicznie, występując przeciwko „zbyt niemu upieraniu się przy naszej autonomii gospodarczej”. Kulać obóz zdrady narodowej wystąpił z ofertą „uplastowania się w międzynarodowym systemie podziału pracy”.

W tym samym roku agencja imperializmu anglo-amerykańskiego kupując „chłopców do lasu”, a PSL-owcy radni, jak w powiecie łowickim, napady polityczne tłumaczyły skutkami demoralizacji okupacyjnej. Gubili się więc mało i średniorolni na początku w „polityce” i w „świątecznych” tygodniach formach niewoli i w niespodziankach na rynku, gdzie kulacy monopolizowali i wspólnie z rzeźnikami i kupcami skup bydła i trzody chlewnej, wyzyskując gołotę, gdzie stwarzali cykle niskich i wysokich cen na zboże w okresach, w których małorolnicy tracił podwójnie, gdzie towary w sklepach miały już dziesiątą cenę marzy dzierżawca, i nawozy przechwytywali bogacze, usadowieni na społecznych dygnitarstwach i kredyty zagarniali i w ziemię z reformy rolnej podryli się znacznie i ciężar podatków, różnicowanych klasowo, umieli zrzucić na barki małorolnych.

Nie piszę historii pierwszych lat na naszej wsi. Wskazuję na niektóre tylko wezły narastającej walki klasowej tego okresu, które pogłębić i poszerzyć winni pisarze w powieściach i opowiadaniach. Ale nie można tego zrobić, jeśli się nie widzi i całego łańcucha przemian i głównych jego ogniw. Bogaty jest ów łuk czasu między 1945. a 1947 rokiem. W 1947 r. wiadza ludowa i partia idą masom chłopskim naprzeciw. Doświadczeni bowiem chłopie nabrzmiały nowymi pragnieniami i nową wędą. Można już wydać bitwę o handel, można rozbudować spółdzielczość — gminna spółdzielnia ZSCH staje się spółdzielnią uniwersalną: wymiany, zbytu i produkcji. Tego chce chłopstwo pracujące. Handel niech będzie społeczny! W następnym roku spółdzielnie wydzierają spekulantom skup zboża, jeszcze pół roku z rynku zwierzęcego wyrugowany zostanie prywatny handel i spekulacja. Do czego prze-mało i średniorolne chłopstwo? Do ściślejszego, bezpośredniego powiązania się z przemysłem socjalistycznym, do planowej — a więc w treści i w kierunku do socjalistycznej gospodarki. Pierwszy stopień to kontraktacja, to ośrodki maszynowe, wyzwalające od niewoli, długów i odróbków u kulałów, to nowe, masowe wybory do ZSCH, rugujące bogaczy, do dwu miliardów ulgi podatkowej, dane najbiedniejszemu, przy masowej kontroli chłopskiej, która nieporównanie więcej wykrywa na rzecz skarbu państwa ludowego u kulałów zaległości, niedomiarów i fałszerstw. Zarysowuje się wyraźna możliwość izolacji kapitalisty wiejskiego. Właśnie wówczas dokonywa się zjednoczenie partii robotniczych. Kierunek na socjalizm wytyczony jasno i wyraźnie.

Ale jeszcze jedno wstecz. Mówiąc o nowych doświadczeniach chłopstwa pracującego, o tym, do czego ono parło, nie chciałem przez to powiedzieć, że wystarczył to sam oświeceniowy bieg wypadków. Fakty miały wściekłą wymowę, lecz podstawa i u mało i średniorolnych i u kulałów była wspólna, kapitalistyczna. W reprodukcji tej bazy toczyła się walka, zrazu o niedanie się, o stanie na swoim, może

nawet o dorównanie. Ież przy tym w świadomości było starego, ile wstecznicstwa w nowych formach ładowała do głowy masom pracujących chłopów agitacja kapitalistycznych elementów i agentura imperialistyczna.

Ale rzeczywistość przepaść pogłębiała się między mało i średniorolnymi a kulactwem. I do tego doświadczenia odwołując się partia ucyła, wyjaśniała, agitowała niezmordowanie i masowo i partia organizowała wzburzające fale napięć i buntu chłopskiego do uderzeń masowych, do osiągnięcia etapowo coraz wyższych i powszechniejszych. Uczyla i wiązała społeczno-gospodarcze akcje chłopstwa z szeroką perspektywą polityczną. Obnażał się w tej perspektywie imperializm amerykański i jego potworne macki, wessane w kontynenty i narody świata. Ukazywał się zwycięski kraj socjalizmu, ostoja pokoju, wońności narodów i ludów, symbol lepszego jutra dla ludzkości i siła niespożyta, wokół której skupiają się siły proletariatu walczącego na całym świecie, tam gdzie kapitalizm i imperializm jeszcze władzą, skupiają się walczące o wyzwolenie ludy kolonialne i narody pragnące pokoju, skupiają się narody, idące do socjalizmu i budujące jego fundamenty w sojuszu robotniczo-chłopskim.

I gdybyście mnie, Młodzi Pisarze, raz jeszcze pytali, co należy odkryć w powieści, której tematem byłaby cukrownia — tym zarysem pierwszych lat uzupełniłbym zobowiązanie do pisarza. A gdybyście mnie drugi raz pytali o Warmińskie „Wzrosty” — również wskazałbym na ten zarys pierwszych lat. Bo czy z nich wychodzą chłopcy? Jest bez historii? Nie byłoby i na ile już przemieniony, kiedy mu Piętrzkowa, partyjna chłopka, gadać zaczęła o spółdzielni na jego wsi, Rozgardzie?

Poprzez wszystkie lata porowolucyjne nacierają na pisarza nowi ludzie, coraz bardziej nowi.

Wyobraźcie sobie miliony tych, którym reforma rolna dała po raz pierwszy w życiu ziemię. Ile wabrało w nich energii i chęci do opanowania nowego warsztatu produkcyjnego. Ile wabrało energii u oddzielnych średniaków. Jak trzon nowego rolnictwa, dźwignięty na pozycję średniorolnych wraz z otwartym rynkiem, popchnął masy chłopie do nowych doświadczeń w wytwórczości, do nowej, wyższej i szerszej wprawy w wykonywanie pracy. I uchwycenie kierunku tych doświadczeń w wytwórczości i kierunku tej narastającej wprawy w pracę. Klasowa polityka podatkowa i kredytowa to był bodziec do zwiększenia ilościowego i jakościowego produkcji, dala ona poczucie bezpieczeństwa producentowi. Oczywiście, kiedy oderwie się od pluga i masowo wesprze Państwo Ludowe i Partię w rozkładzie i kontroli podatków i kredytów, kiedy nie zaprzestanie walki klasowej o torowanie sobie pola do lepszej produkcji, do nowych w niej doświadczeń i wprawy.

A jakie to doświadczenia określały etapami jej wprawę? Ustalony rynek cen. Spółdzielczy handel. Skup zboża i bydła. Kontraktacja. Przydział klasowy i plantatorski nawozów, kwalifikowanego ziarna, bydła zarodkowego. Pomoc w maszynach rolnych i traktorach, pomoc sąsiedzka, przerastająca w gromadzką planowaną sieć, wspól-zawodniczo gromad i wewnątrz — grup produkcyjnych. To był kierunek „zjednoczenia rozproszkownych gospodarstw chłopiech w kol przemyśle socjalistycznym”. A przecież w to wielkie doświadczenie trzeba wliczyć rozwój szkół na miejscu, bibliotek gminnych, świetlic, pism masowych, elektryfikację, drogę rozwoju świadomości politycznej, torowaną poprzez Partię, ZSL i ZMP. Trzeba wliczyć odpyły do szkół wyższych, do pracy w miastach, trzeba wliczyć nacierającą prawdę o odbudowie ojczyzny i gigantycznym rozmachu przemysłowego kraju, o rządach w nim dyktatury proletariatu, która w sojuszu robotniczo-chłopskim dźwiga do władzy masę pracujących chłopów i rozszerza inicjatywę ich działania i gospodarzenia w terenie. I kieruje nimi w walce z wrogiem klasowym i pomaga zdemaskować go i jego kierunek „gospodarzenia”, jego kierunek ograniczonych doświadczeń i wprawy w produkcji. Od jesieni 48 r. wsluchuje się wieś polska w sprawę spółdzielni produkcyjnych. W tym okresie wyrosło już pierwszych 3.000 spółdzielni. Ale ani one, ani rozważania na tyśiących innych wsi o produkcji zespółowej nie miały i nie mają w zapleczu próżni, tzn. tylko doświadczeń czysto kapitalistycznych drobnej produkcji. Wprawa w pracę i doświadczenia w wytwórczości u mas chłopiech wzrosły w latach porowolucyjnych tak szeroko, powszechnie i olbrzymio, że już sam ten proces niesie przewrót agrarny, nieśie dynamikę, jakiej chłopstwo polskie nie przeżywało w żadnym z wcześniejszych okresów. A dzieje się tak dlatego, że te doświadczenia i ta wprawa są polityczne i ekonomiczne organizowane i koncentrowane wokół przemysłu socjalistycznego.

Postęp rolniczy z roku na rok ten brał kierunek i w to wlewał się i wlewało. Skup zboża na przełomie 1950 i 51 r. był wielką bitwą klasową, w której kilkumiesięcznym ogniu zdemaskowany wielorako kulak i napiętnowany w wypadkach sabotażu mianem wroga Polski Ludowej, został, jak kraj długi i szeroki, izolowany. Po drugiej stronie barykady znalazł się mało i średniorolny w sojuszu wzmocnionym i podniesionym na nowy etap. Bo zboże dla kraju to był na tym etapie rozwoju naszej socjalistycznej bazy akt niesłychanej doniosłości. Wraz z chłopstwem małorolnym i średniaki, który dotąd rozumiał, że podniesienie jego gospodarstwa i poprawa jego sytuacji materialnej stanowią przesłankę rozwoju nowego przemysłu, teraz w akcji skupu zboża, dał wyraz powszechnemu zrozumieniu, że „i odwrotnie — jak mówił Stalin — rozwój przemysłu, produkcja maszyn rolniczych i traktorów, masowe zaopatrywanie chłopstwa w wyroby przemysłowe stanowią tę przesłankę, bez której nie można pchnąć naprzód gospodarki rolnej. Na tym polega jedna z najistotniejszych podstaw sojuszu klasy robotniczej i chłopstwa”.

Niedawno nasz korespondent bilansując osiągnięcia polityczne i gospodarcze naszej wsi w akcji skupu zboża, wyciągnął prosty i słuszny wniosek: nie demobilizować się!

Hasło „nie demobilizować się” należy do sfery świadomości. Ale tak, jak żołnierz na froncie, rozgrany walką o słuszną sprawę i zwycięstwami, nigdy się „nie demobilizuje”, jeśli ma broń w garści i naboje, tak też oświadczamy sytuację roku 1951. Czy jest broń w garści? Jest! I przybywa — proszę Was — nowa, potężna broń, która wchodzi na wieś, gdzie podrosły już masowo u chłopów doświadczenia w produkcji i nowa wprawa w wykonywaniu pracy, doświadczenia i wprawa, skupiające się wokół przemysłu socjalistycznego. Ta nowa, decydująca na wsi polskiej o przełomie broń to — POM-y. W ubiegłym roku, na wiosennej naradzie pisarzy min. Berman wskazywał na nią literatom. Tu macie nową! Ale wówczas pisarze nie doceniali i nie rozumieli jeszcze, kielików nowego, które właśnie w POM-ach wyrosło nie do roli dźwigni dla walki o rugowanie elementów kapitalistycznych na wsi i szybki wzrost elementów socjalistycznych.

W ubiegłym roku POM-ów było tylko 30 z 1200 traktorami. W tym roku będzie ich 300 z 13 tysiącami traktorów. A pamiętacie, co mówił Lenin? „Gdybyśmy mogli dać jutro 100 tysięcy pierwszorzędnym traktorów, zaopatrzyć je w benzynę, dać im kierowników (wiedzę doskonałą, że na razie jest to fantazja) to średniak powiedziałby: „Jestem za komuną” (t. zn. komunizm). Otóż, sprowadzając porównanie Lenina do naszej wsi, przestraszeni i ludnościowej winniśmy sobie zdać sprawę, że jutro jest już niedaleko. 300 POM-ów, kiedy jeden POM może obsłużyć do czterech gmin, to daje w sumie ponad 10.000 wsi. Dziesięć tysięcy wsi wejść w tym roku może w blokową orkę, siew i sprzęt. Jakż to masowy i wielki krok naprzód ku spółdzielniom produkcyjnym. Jaki masowy krok naprzód na drodze porowolucyjnych doświadczeń w produkcji i rozwoju wprawy pracy chłopieckiej, skupiającej się wokół socjalistycznego przemysłu.

Minister Berman mówił przed rokiem o ludziach POM-ów. Tam to, „krystalizuje się nowy typ działacza, wyrosłego z masy robotniczej, poczuwającego się do odpowiedzialności za to, co się dzieje na wsi, działacza, którego horyzont wybiega już poza obręb jego fabryki”. Z rozmaitych powodów średniak najradszy i najkrótszy miał kontakt z robotnikami, z klasą robotniczą. Teraz przez POM-y stanie twarzą w twarz z niedawnym przodkiem hut, kopalni i fabryk. I to on stanie w pierwszym rzędzie. POM-y bowiem niewątpliwie zaparkują się w tych okolicach, gdzie są największe oazy plantatorskie, największa sieć kontraktacji, największe doświadczenia rolnicze u chłopów, czyli, gdzie najwięcej „dobrych gospodarzy”, gdzie średniak jest figurą centralną. Pozna średniak w codziennej współpracy robotnika, który mu niesie w sojuszu najszczerszą przyjaźń, pomoc i przysięgę, kładącą fundamenty pod jedność moralną i polityczną narodu.

Droży Młodzi Pisarze, wskazałem Wam na nowe roku 1951. Nie jedyny na naszej wsi, ale niewątpliwie węzłowy i wraz z krzepnięciem już istniejących spółdzielni i ludowiadztwa w radach narodowych — zapowiadające wielki przełom.

O tym, co się wyraża poprzez Rady Narodowe, należałoby pisać nie mniej szeroko. W nich bowiem najpowszechniej ujawnia się już i siła i rozmach nowej gospodarki narodu, rozmach mas chłopieckich, gospodarujących na swojej gminie, w swojej okolicy z coraz większą odpowiedzialnością wobec całego kraju i z coraz większą konsekwencją w realizacji socjalistycznego Planu narodowego. O tym gospodarowaniu można by powiedzieć równo.

(Dokończenie na str. 7)

„SKARBY ZAGRABIONE”

Tworzyło się na pirackich szlakach, gdy pirat był kupcem, kupiec piratem i gdy z tych kupiecko-pirackich wysiłków wyrastał stary system kolonialny Brytyjczyków, ojciec perwotnej akumulacji kapitału, a więc i w następstwie — rewolucji przemysłowej.

„Skarby zagrabione poza Europą za pomocą ujarzmania, rozboju i rzezi, wracali do kraju macierzystego i tu zamieniały się w kapitał” — pisał Marks w I t. „Kapitału”.

Tak rodziło się Imperium Brytyjskie. Rozbojami na morskich trasach towarzyszyła specyficzna moralność rosnącej w siłę młodej burżuazji angielskiej, moralność, której wiernym świadectwem pozostają na zawsze „Dola i niedola sławnej Moll Flanders” — spisane przez Daniela Defoe. Moralność, która wtedy, u zarania dzieł bogatego, żądnego zdobywczy mieszczanstwa brytyjskiego — jaskrawo i bezwzględnie pokazywała, czym jest i jakim się stanie kapitalizm, jakie będzie jego oblicze obyczajowe, ukształtowane na bazie ekonomicznego rozboju.

Stary system kolonialny — odpowiednik okresu kapitału kupieckiego — przeszedł w wyniku rewolucji przemysłowej w system światowego monopolu przemysłowego, którego cserodkiem stała się Anglia — ówczesny, przemysłowy warsztat świata.



R. Minov

„Dobre”, stare czasy Imperium, które dawały burżuazji brytyjskiej wiarę w wieczność, wiarę w niezmienność jej władzy nad lądami i oceanami, a brytyjskiej administracji poczucie „narodu wybranego”, wybranego, rzecz jasna dla „trzymania za mordę” krnąbrnych ludów kolorowych — te czasy minęły. Monopol przemysłowy. Wielkie Brytanii, który znał swoje panowanie śladami śmierci tubylców w podbitych krajach, runął wyprzedzony przez nowe mocarstwa przemysłowe, dojrzewające w ciągu XIX wieku do roli konkurentów Wielkiej Brytanii.

Generalny Gubernator Indii pisał w swym raporcie z r. 1834: „Kończą się białe dni na równinach Indii”.

Głód — efekt zalewu krajów kolonialnych przemysłowymi wyrobami brytyjskimi — nie zniknął jednak wraz z przejściem imperializmu angielskiego do Imperium W. Brytanii do nowego okresu historycznego.

Wprawdzie szkoła Cobdena i Brighta lansowała w połowie XIX w. tezę o konieczności likwidacji całego systemu kolonialnego, wraz z jego nadbudową polityczno-ustrojową monarchii, Izby Lordów itp.; wprawdzie Disraeli uważał „nieszczęsne kolonie” za „młyński kamień” u szyi Anglików, wprawdzie Merivale podsekretarz stanu w okresie 1848 — 1860 twierdził, że motywy, które skłaniały naszych przodków do zakładania imperium kolonialnego, przestały istnieć — ale Imperium pozostało, tak jak pozostał, rozwijał się, nabierał coraz nowych — imperialistycznych — apetytów kapitalizm angielski. A wraz z nim głód, niedza, wyzysk i terrorystyczny ucisk podbitych, ujarzmionych, opanowanych gospodarczo i politycznie ludów. W okresie od 1839 r. do 1852 anektowano: Aden, Nową Zelandię, Natal, Sind, Pendżab i Burme. Napoleon mówił wprawdzie, że „wszystkie imperia umierają na niestrawność”. Nie przeszkodziło mu to jednak wieść młodej burżuazji republiki do Cesarstwa, a Cesarstwa do imperialnych podobojów. Tymbardziej Anglikom opinia Napoleona nie utrudniała wcale imperialnej polityki zabobów.

Pokłonił zresztą Napoleona razem z jego opiniami. Umarli nie mają racji. Odwrotnie: konkurencja przemysłowych potęg USA i Niemiec, zyskująca w drugiej połowie XIX w. przewagę nad W. Brytanią — pchnęła Anglików na drogę wielkiego wywozu kapitałów, połączone z dalszymi podobojami terytoriów zezararskich. Droga ta wiodła do imperializmu XX wieku — tworzącego z Wielkiej Brytanii zamiast monopolisty przemysłowego — światowego lichwiarza, zdzierającego procenty z całego świata, a w pierwszym rzędzie z obryzmego terytorium kolonialnego, zajmującego w przeddzień II wojny imperialistycznej 1/4 globu i zamieszkalego przez 1/4 część ludności ziem.

PROCES GNICIA

Postępowa w sensie rozwoju kapitalistycznego świata — rola imperium skłoniła się. Brytyjska burżuazja stała się cynicznym imperialistą. Kapitał przemysłowy ustąpił na rzecz finansowego, rozwój pro-

dukcyj został zahamowany (a widać to szczególnie jasno w porównaniu do rozwoju przemysłu USA czy Niemiec). Anglia żyje na koszt kolonii, na koszt dłużników, Żłudne zasady „wolnego handlu” ustępują miejsca bezwzględny zasadom bandyckiej eksploatacji kolonialnej, rabunkowej gospodarczej i przykrepaniu śrub finansowej zależności w stosunku do słabszych gospodarczo i zależnych od W. Brytanii państw. Anglia wkroczyła w „najwyższe stadium kapitalizmu” — w imperializm, Wkręcała zresztą przy akompaniamencie salw armatnich i strzałów plutonów egzekucyjnych, rozprawiających się bezlitośnie z opornymi czarnymi, żółtymi i białymi. Od 1884 do 1900 — W. Brytania zdobyła nowe 3.700.000 mil kwadratów, czyli większą część swego imperium. I razem z tymi zdobyciami albo i wskutek m. inn. tych zdobyczy, imperializm — kapitalizm brytyjski zaczął przejawiać typowe oznaki gnicia. Proces gnicia, proces rozkładu Imperium i upadku W. Brytanii trwa po dziś dzień, przyspieszony wojnami, z których „Wspólnota Narodów” wychodził wprawdzie pozornie, bo terytorialnie, wzbogacony, ale w jeszcze większym stopniu osłabiony gospodarczo i politycznie, wstrząsana buntem narodów i coraz bardziej zależna od woli nowych imperii i silniejszych imperialistów. Lichwiarz brytyjski stał się dłużni-

wej Aleksander w marcu 1949 r. oświadczył:

„Musimy stawić czoło niebezpieczeństwu w Hong Kong i na Malajach. Musimy ponownie o naszym tradycyjnym położeniu na Bliskim Wschodzie i w Cieśninie Morza Śródziemnego. Nasze zobowiązania i stosunki w Grecji powinny być utrzymane. Podobnie musimy postąpić w Niemczech, Austrii i Turcji. Musimy czuwać nad wydarzeniami na Wschodzie i w Zachodniej Afryce i w szczególności nad wydarzeniami w Indonezji, czy Formozie, czy Tajwanie”.

To wszystko nazywa się „likwidacją imperializmu, a 7-krotnie wzrost wydatków zbrojennych w stosunku do przedwojennych ich wysokości — ma podobno dozwolnić, że Imperium nie istnieje. Toteż nie dziwnego, że Palmer Dutt zaopatruje te dane i oświadczenia zgryźliwym komentarzem:

„Porzucenie imperializmu” musi być najwłaściwie rozumiane w sensie pęknięcia „imperializmu”.

Od chwili gdy Dutt pisał swą książkę t. j. od r. 1949 w sytuacji światowej zaszły dalsze zmiany, wpływające na jej zastrzeżenie. Agresja USA wobec Chin i Korei, remilitaryzacja Niemiec, Japonii i Włoch, przetworzenie wreszcie ONZ w wyraźne narzędzie agresywnej polityki Waszyngtonu. Toteż wydatki zbrojeniowe W. Brytanii wzrosły niepo-miérnie, jeszcze silniej uzależniając ją od bankierów z Wall-Street, jeszcze bardziej pogłębiając kryzys. Imperium, którego ludy walczą o wolność, stoją w wielomilionowych szeregiach po stronie światowego obozu pokoju.

I TO JEST STAN FAKTYCZNY: utrata angielskiej niezależności w wyniku imperialistycznej i imperialnej polityki, której W. Brytania bez drogo opłacanej „pomocy” USA prowadzi nie może.

I TO JEST STAN FAKTYCZNY: potężny wzrost antybrytyjskich i antyimperialistycznych nastrojów w krajach kolonialnych, dominacjach i protektoratach, prowadzący do zbrojnej walki o Wyzwolenie Narodowe i społeczne, walki, w której kierowniczą siłą jest proletariatu kolonialny, i jego Partie Komunistyczne.

Rzadzca imperium z upoważnieniami finansjery brytyjskiej i amerykańskiej Labour Party ma wstrętą skłonność do nazywania zbrodni — cnotliwym uczynkiem, a kradzieży — pożyczką.

Ale zza zasłony kłamstw i upiększeń wyłazi prawdziwe oblicze dzisiejszej sytuacji Anglii i jej imperialnych posiadłości. Imperium Brytyjskie potrzebuje ludzi. Nie do pracy. Tych jest więcej — niż możliwości zatrudnienia. Imperium i imperializm brytyjski potrzebują ludzi do utrzymania w koloniach angielskiej władzy, do tłumienia wolnościowych aspiracji narodów, do utrzymywania tubylczej ludności w jarzmie niewolnego, posłuszeństwa. Około półtora miliona młodych, zdolnych do twórczej pracy Anglików przebywało poza wyspami brytyjskimi, w szeregiach wojska i formacji pomocniczych. Dziś, gdy trwa wojna korea-



N. Doigorukow

ńska i bunt ludów kolonialnych nabiera mocy i rozmachu, liczba ta zapewne znacznie się zwiększyła.

Jak dalece większość wojkowych efektów Anglii znajduje się poza ojczyzną — mogą świadczyć interpretacje w Izbie Gmin — domagające się wyjaśnień, gdzie podziwiają się jednostki brytyjskie, skoro w ramach agresywnych paktoów Marshalla, atlantyckiego itp. rząd brytyjski nie był w stanie dostarczyć odpowiednich sił dla t. zw. „obrony” t. zw. „zachodnio-europejskiej cywilizacji”.

Ten olbrzymi ubytek rąk ludzkich — nie pozostaje bez wpływu na stan produkcji przemysłowej, na sytuację ekonomiczną metropolii imperialnej.

I chociaż labourzyści „wynaleźli” sposób na kryzys twierdząc, że wystarczy więcej eksportować, a co za tym idzie więcej produkować — po to, by zdobyć i dolary i potrzebne surowce i towary importowe — to jednak kryzys angielski i ogólnoimperialny, strukturalny kryzys Wspólnoty Narodów z dnia na dzień się pogłębia.

Dzieje się tak — mimo pewnego, widocznego wzrostu produkcji, wzrostu jej wydajności. Kilkoprocentowy wzrost produkcji stali czy węgla — nie może bowiem zapełnić luk, powstałych przez oderwanie półtora miliona młodych od warsztatów pracy. Tym bardziej, że czasy, gdy Anglia była najbardziej uprzemysłowionym mocarstwem świata — niepowrotnie minęły. Na rynkach światowych dominują dziś Stany Zjednoczone z

(Dokończenie na str. 3)

*) Na marginesie książki R. Palmera Dutt „Imperium Brytyjskie” — Człowiek 1950.

KONAJĄCE IMPERIUM

(Dokończenie ze str. 2)

Ich olbrzymim przemysłem i brutalną polityką przyswajania, narzucającą amerykański towar zagranicznemu odbiorcy, w tej liczbie i wielu podstawowym „klientom” Wielkiej Brytanii. Jej do niedawna podległym krajom. A że amerykańska polityka represji gospodarczych zamknęła na skutek zdradzieckiej postawy brytyjskiej burżuazji i Labour Party — przed Anglią możliwości eksportu do wschodniej Europy, ZSRR i Chin Ludowych — więc efekty ówczesnego wyrwania z produkcji półtora miliona młodych ludzi są w połączeniu z całokształtem trudności angielskich — tragiczne. Dodajmy, że to dzisiaj W. Brytania produkuje — to towar w dużej mierze niekonsumpcyjny i niezbędny dla normalnego eksportu wygodny. Armaty, samoloty odrzutowe i sprzęt wojskowy różnego typu — nie są jadalne. Są tylko śmiercionośne.

Ale imperialny kryzys brytyjskiego imperium to nie tylko sprawa niewłaściwego, zbrodniczego gospodarowania ludźmi, wynikająca z narzuconej przez USA, a skwapliwie przez angielską burżuazję i Labour Party podtrzymywanej polityki agresji. Kryzys ten wynika i z tego dość oczywistego faktu, że utrzymanie za granicą, w stanie pogotowia lub walki półtora miliona ludzi, przy jednoczesnym dalszym mobilizowaniu rezerw — kosztuje. Kosztuje olbrzymie sumy przekraczające możliwości angielskie i zwalające się jarzmem eksploatacji na barki kolorowej ludności Imperium. Eksploatacja ta wymaga zresztą kapitałów, których Anglia nie ma. Potrzebne są amerykańskie pożyczki, dające wprawdzie, ale obwarowane zastrzeżeniami natury politycznej, gospodarczej i militarnej — tak dalece posuniętymi, że niepodległość, samodzielność i suwerenność Wielkiej Brytanii i jej imperium staje się z dnia na dzień coraz większą fikcją. W miarę jak rośnie brytyjski dług kolonialny, w miarę jak rośnie deficyt dolarowy — maleje i kureczy się brytyjska wolność i niezależność państwowa i narodowa.

W cyfrach wygląda to tak, że już w 1949 r. brytyjskie wydatki na armię wyniosły 800 milionów funtów, a zadłużenie W. Brytanii wobec kolonii z tytułu świadczeń i usług udzielanych metropolii w czasie wojny obrazowała suma 600 milionów funtów. Nie mówiąc już o finansowej zależności od USA. Tak więc Imperium jest praktycznie potwornym ciężarem dla Anglii, a Anglia jeszcze potworniejszym dla Imperium.

Nie zaciemnia tego faktu szeroko reklamowane przez Labour Party „Ustawy o rozwoju kolonii” w myśl których w ciągu 10 lat (do 1949 r.) wydatkowane ze skarbu na rzecz wszystkich terytoriów kolonialnych niecałe 26 milionów funtów, co odpowiada 7 szylingom i 4 pensom na głowę w ciągu dziesięciolecia, a 10 pensom w relacji rocznej.

W ciągu bowiem jednego tylko roku 1948 dług brytyjski wobec samej tylko Afryki Zachodniej wzrósł o 20 milionów funtów, tj. prawie o tyle, ile wynosiła cała „filantropijna” działalność rządu W. Brytanii wobec wszystkich kolonii i to w ciągu 10 lat!

Jednocześnie zaś w tymże 1948 r. jeden tylko konserwatywny United Africa Company osiągnął — 25 milionów funtów zysku z kolonii.

Zestawienie tych trzech cyfr mówi komu i po co potrzebne są kolonie i olbrzymia armia na utrzymanie ich w postępieństwie, komu potrzebna jest polityka — prowadząca Anglię do upadku, a kolonie do nędzy i głodu! Imperialistyczna burżuazja i jej labourystowskie prokurenty, ekspluatając się Waszyngtonowi za cenę pomocy w utrzymaniu imperium kolonialnego — zmuszają Anglię do nieznanych w jej dziejach wysiłków zbrojnowych.

„W naszej polityce zagranicznej” — pisał 6.3.1949 „Observer” — dokonała się rewolucja, co pociągnęło za sobą rewolucję w polityce obronnej. Z potęgą morską stajemy się potęgą lądową, stojąc na pierwszej linii.”

Napoleon powiedział kiedyś, że W. Brytania nie będzie nigdy potęgą lądową, a usiłowania, by stać się nią, będą oznaką upadku.

I tak właśnie jest: wygnana z mórz przez flotę USA — Anglia przeznaczona jest na mięso armatnie i na coś więcej jeszcze.

„Stany Zjednoczone — oświadczył przewodniczący Komisji budżetowej Izby Reprezentantów USA — p. Camon w r. 1949 — muszą być przygotowane do uzbrojenia żołnierzy innych narodów, którym pozwolimy wysłać synów na śmierć, sami zaś nie będziemy potrzebować wysłać naszych synów. Oto, co znaczy dla nas bomba atomowa.”

Ponieważ bazą dla atomowej akcji wojennej agresorów ma być właśnie W. Brytania — bomba atomowa oznacza dla niej nie tylko amerykańskie „pozwolenie” wysyłania Anglików na śmierć, ale i potworne zniszczenie w wypadku zrozumiałych ataków ewentualnego przeciwnika na atomową bazę imperialistów w Europie.

I to jest właśnie ostateczna perspektywa upadku, do jakiego doprowadziła Anglia imperialna polityka jej burżuazji i jej labourystów.

Rozumieja to dobrze ludy dominiów i kolonii walczące przeciwko brytyjskiej przemocy i własnej zdradzieckiej burżuazji. Rozumie to też coraz lepiej — lud angielski. Mieszkańcy „Wspólnoty Brytyjskiej” wiedzą, że gdy Imperium skona — ludy ożyją!

Kazimierz Debnicki

HENRYK WORCELL

ŻONA PRZECIWIW SPÓŁDZIELNI?

Władek! — krzyknął Sieciech w kierunku siostry — Na- wójś już? W kwadrans póź- niej wóz i para koni stały na pod- wórze gotowe do wyjazdu. Wła- dek coś tam jeszcze dukał przy lejce. Sieciech stał po drugiej stronie wozu i w zamyśleniu chłostał batem kamienie — i wtedy właśnie na podwórzu zjawił się Ligas. Był to niski, przygarbiony chłopiec o błyszczących oczkach i ruchliwych jak u gryzonia szczękach. W roku 1947 zajmował w Mokrzy- skach stanowisko wojty, narobił wtedy różnych świństw, że ledwie uniknął kryminalu, a i teraz zimą trójka gromadzka i sam Sieciech mieli z nim sporo do czynienia, za- nim go zmusili do odstąpienia peł- nych trzech ton. Ligas ostatnio na- pierał na utworzenie spółdzielni produkcyjnej w Mokrzyzkach Górnych i głośno o tym bebnął po wsi. Na przedwczorajszym zebraniu był jed- nym z najczynniejszych agitatorów, kręcił się koło Sieciecha wyzwa- nym w nim przyszłą głowę kolektywu. Widocznie w ciągu doby dojrzał coś w jego stożkowatej głowie, bo oto z daleka wyciągając do Sieciecha rękę sygnął gradem słów:

— Antek, ale z ciebie zaręczęty chłop, ani bym się nie spodziewał. Kto jak kto, ale ty... no, każdy ma prawo robić jak mu sumienie dyktuje. Ja wiem co cię boli. Pewnie, pewnie, taki Bocian, albo Kurpia... To się rozumie, robić na kogoś, a ten żeby się śmiał... Szkoda, że nie masz czasu, bo byśmy pogadali... Ty powiadasz, że w spółdzielni nie wy- dziesz na swoje. Masz rację, łatwo to nie idzie. Ale ja ci powiem: w spółdzielni trzeba mieć tu — stuknął się palcem w czoło — a nie tu — po- macał swoje sfatygowane ramię. Haro- wać to każdy durenś może, ale głow- ę ruszyć... No, powiedz, mam rację?

— No... — burknął Sieciech przy- patrząc mu się uważnie. Ligas przy- jął to jako zachętę, ciągnął więc już bez ogródek:

— Chłopcze, powiem ci tylko tyle, nie ma parkanu bez dziury. Jak bę- dzieś morowy, to i w spółdzielni na swoje wyjdiesz. Nie bój się, ja się już przypatrzyłem jak to idzie, moja głowa w tym, przekonasz się... są ta- kie kombinacje, że nawet... A po co ludzie mają gadać, żeś wróg, że ha- mujesz... A jak byśmy się tak trzy- mali oba razem... tu nagle urwał i nie już więcej nie zdołał powiedzieć. Sieciechowi po raz drugi tego dnia zadrała ręka. Niewiele brakowało, a byłby chłostał batem w szczurzy pysk Ligasa.

— Wio! Jedź Władek! — zawołał usłukując na wóz. Przez moment mignęła mu twarz żony w obramo- wieniu okna. Wóz zaskrobał po ka- mieniacz i wyjechał za bramę. „Oto skutki moich przedwczorajszych wy- kreptów — przemknęło Sieciechowi przez myśl — jakie to wnioski wy- ciągnął z nich ten szuja, Ligas”. Je- chali miękko, niewybrakowaną polow- ą drogą, konie zdawały się prze- skakiwać cienie, padające od pięt- wych domów, żelazne części koleśni- cy dzwoniły na wozie, Władek kilka- krotnie spostrzegł na ojcę, wreszcie zebrał się na odwagę i rzekł:

— A bo zapisałyście się do tej spółdzielni i byłby spokój.

— Jak będziesz miał swoje gospodar- stwo, to się zapiszesz, ja wiem co- robie.

— Ale tata nie wie, co ludzie ga- dają.

— A co gadają?

— Że nie reakcja.

— No, kre... ja reakcja! A kto więcej ode mnie dla gminy zrobił? A szoba nie zdążył z nadwyszką? A ma- lom się to nuchodziło z trójką po- domach, n-nakolował ludzi? Ja re- akcja! Którzy to tak gadają?

— A co wam z tego przyjdzie, choćby powiedział ktoś? Gadają i tyle. Choćby i Wojtasik, albo i Sta- szek Piechota. Pamiętają jakiegoś w marcu na zebraniu mówili, że teraz front narodowy, że wszyscy muszą być aktywni, że nikomu nie wol- no stać na boku z założonymi rękami, bo jak stoisz na boku, to służę re- akcji. A sami co robicie? W Hodo- rowicach spółdzielnia, w Bobrowni- kach spółdzielnia, a wy w Mokrzy- skach hamujecie. Chłopaki mi wczor- aj dopili: „co ty nas tu będziesz przekonywał, jak ty rodzonego ojca nie umiesz przekonać”.

— Tfu! — splunął Sieciech na dro- gę — durne był! Filozof! To ty nie wiesz co im powiedzieć? Spółdzielni nie zakłada na kolanie. Funda- menty najpierw trzeba solidnie usta- wić! W Bobrownicach się podpiesz- li i co? Kuleje, słono już kupują na kredyt, o mieszkanie wiosenne też nie myśleli w jesień. Tu trzeba mieć, tu! — palnął się dłonią w czoło.

Wyjechali poza wieś, przed nimi otwierała się szeroka słoneczna prze- strzeń pól. W odległości kilometra w poprzek krajobrazu ciągnął się kret, zadrzewiony jar, płynęła tam Nysa, a dalej aż po widnokrąg błado zarys- ywały się sudeckie góry, wśród zgęszczonej uzi i drzew, pagórków, kościółów i kominów fabrycznych, niziły świetli- sty półmrok.

— Do żniwa byłoby dosyć czasu na te fundamenty — odezwał się Wła- dek po długim milczeniu.

— Ty to jak nieboszka matka: godzinę nabija zanim wystrzelił.

— Patrzcie: w Hodorowicach już cza- ra... rzecznicyście na rozległych po- lach hodorowickiej spółdzielni, mę- dzy uścią a jarem Nysy, pracowali pięć albo sześć par koni.

— Ale się pokpięzili. Jedź no pre- dzaj! Musimy dziś odwalić ten klin nad rzeką.

— Po! Sieciechowcie długim pasem graniczyło ze spółdzielcem. Uwinęli

się rażno, wyładowali z wozu plug i koleśnicę. Gdy Władek wypręgał konie od wozu, ojciec na próżno u- siłował rozpoznać chłopca orzącego spółdzielcze pole w odległości jakichś 500 m.

— Kto to może być? Nie Batorek to?

— Ej nie... — powiedział Władek, osłaniając oczy przed słońcem — „O, kłama się, nas już poznał”.

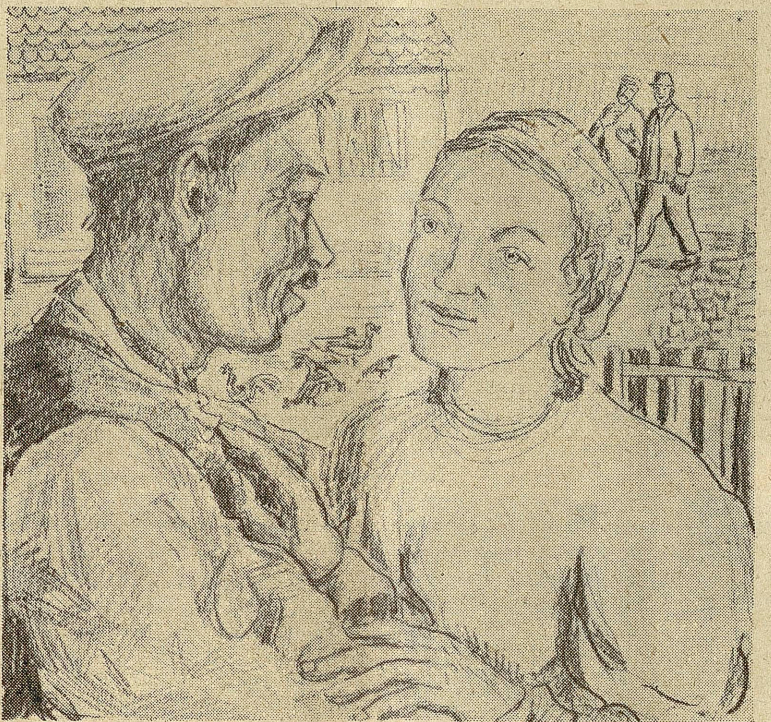
Oddali przedwiośnia czapkami i rękami, ale nie wiedzieli komu ślą pozdrowienia.

— No tak — rzekł ojciec — on nas poznał, bo wie, że tu nasze pole, a tam czu- wie, który z siedemdzie- sięciu hodorowickich orze. Ruszaj się!

Ruszył. Plug worał się lekko w

wilgotną ziemię, konie wyrównały swój chód, rzemienie i chomonta skrzypiały monotonną muzyką. Do- jechawszy do stromej spudziary ny- skiego jaru, ojciec i syn oglądali się wstecz, radując oczy widokiem od- wrotnych skib. A kiedy zwracali kćmi na granicznej drodze, również się oglądali. Nie mogli się dość na- patrzeć i nacieszyć, że oto za każ- dym nawrotem dwudziestocentym- rowy pas uprawianej ziemi zamienia się w pulchną rolę. Od czasu do czasu pozwalali koniom odpocząć i wtedy milcząc wpatrywali się w za- drzewiony, zakrzaczony jar, gdzie przyroda urządziła już wiosenną wystawę frędzli, bań, różg i pęków obelężonych syropem.

Okolo w pół do jedenastej orzący



Rys. S. Gierowski

Edmund Gonczarski

WYSIEDLENIE

Gdy postanowiono wysiedlić górnika polskiego z francuskiej kopalni w Pas de Calais, nie zabrakło ani jednego podpisu na tym papierze.

Jak odciski palców widnieją tam po dzień dzisiejszy i można je oglądać.

Na tym papierze, Kładła się pieczęć za pieczęcią ministrów posłów pseudo-socjalistów i określonych w swym zawołaniu policyjnych.

Pod niebem francuskim pod czystym, po ziemi francuskiej, w cichym powietrzu

zaszczekały glucho sfory psów, podniosły uszy lby czyhające, rozłożyły nozdrza cwałujące po polach. Ale stanęła przed nimi

czarna ściana węgla

gdy poszli wprost, czarna ściana węgla

gdy poszli w prawo, gdy w lewo nie mogli jej obejść, bo była wielka — wielka

czarna ściana węgla.

Nie udało się im wysiedlić górnika polskiego z francuskiej kopalni w Pas de Calais. Zginął w katastrofie górnik polski w francuskiej kopalni w Pas de Calais.

Jego oczy zasypały. Jego ręce zasypały. Jego głowa jego głowa, jak paproć zamierzających wieków jest czarna bryła francuskiego węgla.

Odeszli z niczym pan wicepremier, minister poseł, pseudo-socjalista. Pozostali nicy, nie wypuszczajmy ich z rąk pozostał papier na nim podpisy na nim pieczęcie, jak odciski palców na tym papierze widnieją po dzień dzisiejszy.

Po śladach dojdziemy do ich rąk po śladach odnajdziemy ich oblicze to oni to oni ręce górnika od węgla oczy górnika od węgla zatrute płuca górnika od pyłu węglowego i zysk z węgla od rąk od oczu od płuc od ust robotnika...

Niech przyjaciele pójda! niech pójda bracia górnicy

rozstąpi się czarna ściana węgla, wydobędą jasnowłosą głowę górnika, która jak paproć zamierzających wieków jest korzeniem węgla.

Stanie posągami głowa górnika Stanie nad placem de la Concorde, pod niebem francuskim, pod niebem wspólnym w cichym powietrzu francuskiej ziemi.

List z Mokrzyk Górnych

SPÓŁDZIELNI?

na spółdzielczym zostawił konie, a sam ruszył na przelaz ku Sieciechom.

— Stań trochę — rzekł ojciec — niech konie odpoczną. Ha, to prze- cie Kubis!

— A tak, Kubis...

No jakże! Kubis — autochton. Zna- li się dobrze od czterdziestego szó- stego roku, na nie jednym zebraniu bywali nie jedno sobie powiedzieli. Był czas, że darli z sobą koty na Rudzie Narodowej — Kubis wtedy- zas był jeszcze przeciwko spółdzielniom, a pokazało się że Sieciecha wyprze- dził.

— Segd Boze! — uchylił czapki autochton — No, jak ci idzie Antoś? Widać, że wy w Mokrzyzkach nie myślicie o wspólnym...

Kubis ostatnimi czasami zaabsorbo- wany robotą spółdzielczą, nie oriento- wał się jak teraz sprawy stoją w Mokrzyzkach i jak hamując od- działując tam Sieciech. Przeczenie, był o Sieciechu najlepszej myśli.

Sieciech, czterdziestoletni chłop, przystojny, energiczny, dwa lata temu ożenił się z młodą po raz drugi. Kpił energią. Z pierwszego małże- stwa miał syna — już licealistę i dwie córki w szkole powszechnej, a w drugim zdążył powiększyć rodzinę o jeszcze jedną, paromiesięczną có- reczkę. Jakże taki nie miał kipieć ży- ciem, jak nie miał zaurzeczy w głowie pięknej i „puducowej” dziewczyn- nie, kiedy sam siarka i ogień a rol- nik ho, ho rolnik z niego nie gorszy od agronoma powiatowego. W „po- litykę” wlaści niewiedomie, ale wla- ził i to coraz mocniej przez te „po- mysły rolnicze”, jak mawiali radni w gminie. Chyba był do nich i wier- ny ich logice. Powtarzano często po- do, przyswójwano zwrot: „wychodzi na to...”. Wychodziło na to, że lepiej się opłaca kontraktować, a jak kon- traktować, to wychodziło na to, że lepiej się opłaca dać zbiorowe zamó- wienie POM-owi na orkę, siew i żniwa. A jak w jednym bloku orać, siew i zbierać to wychodziło na to, że jeszcze lepiej spółdzielnie założyć. Ostatnio tak właśnie stała sprawa w Mokrzyzkach Górnych i chłopci, wa- żąc decyzję, uwzględniali ją od głosu Sieciecha. Bo jeśli powie tak, to zna- czy, że obejmie prezesurę. Ale na ostatnim zebraniu Sieciech wydmuchił się ze spółdzielni, powodów nie po- dawał. Owszem, innych po staremu zachęcał. O sobie powiedział tylko tyle, tylko, że rok chce jeszcze odcze- kać. O tym wszystkim jeszcze Ku- bis z Hodorowic nie wiedział. A tym mniej o przyczynie tego, że tak powiem, skandalu w Mokrzy- skach Górnych.

W dwóch słowach poinformuję czy- telnika. Sam bowiem w tej chwili nie wiem, jeszcze głębiej wyjaśnić tego blagiego na pozór oporu, który jednak zmógł Sieciecha, że publicznie zajął stanowisko przeciwne temu, „na co wychodziło”. Domyślać się łatwo — ZONA. W r. 47 ukończyła szkołę rolniczą, chyba niższą, przy jakimś Uniwersytecie Ludowym. Zba- dam to wkrótce dokładniej. Pocho- dzi z rodziny „szczęśliwików”. Na hodowlę drobiu, sadze, warzywach i obejściu gospodarskim zna się może lepiej od meża. Ale tak ją dżwienie nauczyli, czy sama sobie umyśliła, że całą wiedzę na swoje tylko obra- ca. I nawet nie ma u niej chęci do na- zysk. Wygląda na artystę, który zamyka się w swojej pracowni i ma- luje. Bo też obejście Sieciecha już z daleka wygląda jak obrazek, a jak wejść do środka napatrzyć się nie można.

Kiedyś, obejrzawszy te cuda, po- wiedziałem jej, że mi to wygląda na zacisze, akuratnie dla „wiciowych dumań”.

— Jakby pan zgadł — odparła ucie- szona. — Byłam w Wiciach do cza- su... zjednoczenia. Tu gdzieś tkwi tajemnica. Coż to musiał być dla niej za traf- pienie Antosia Sieciecha. Ten ją do- piero zrozumiał i zachęcił. Dławił i jego ona zdumiała i oczarowała. Na- zwała ją o KROLEWNA, a to CZARODZIEJKA. Rzeczywiście, za- grody mu przeczarowała. W sprawach rolniczych w pół słowa się rozumie- li. W Antosia życie społeczne nie wtrącała się, ale ile sił, skupiała je- go uwagę na gospodarstwie. Dopiero ostatnio, jak napomykał sąsiadzi, doszło między nimi do awantur. Znowu się domyślam, że poszło o spółdziel- nie produkcyjną. Ta uroczą kobietę, ale sensatka, musiała postawić jakiś historyczne ultimatum. I Sieciech nagle na ostatnim zebraniu stanął nam deba. Teraz pytany przez Ku- bisa, co słychać w Mokrzyzkach, od- powiedział miłośnik, że ludzie w Mokrzy- skach nie zgani, że się tworzą kluby, taki Ligas w jedną, a Bocian i Ku- rypa w drugą, że jeśli komitet orga- nizacyjny już taki niezgodny, to le- piej zaczekać do przyszłego roku, a nie tak: lap, cap... Z tego wszystkiego Kubis wywnioskował, że istotnie z ludźmi w Mokrzyzkach trudno orga- nizować i nawet przytaknął Siecie- chowi współczująco:

— Prawda, wy tam macie w tych Mokrzyzkach cholerny naród. A u nas, bracie, jak się wzięli do roboty, to ino furcy. Jo nie mówia, bo jo- som był głupi. Mnie się rozmaita- przódzi dawadło. Spółno pracat! Prze- cie ciek do tego nie stworzony. A te- ra? Widzisz? Wiesna się robi, a mnie się zdaje, jakoby dwie wiosny sły. Tu na polu jedno a tu w środku — stuknął się w pierś — drugo. To ci nawet nie mogą powiedzieć jak to jest... Jakichś się od nowa narodził... Jak się chłopcy zbiera, jak znowu ura- dzać, a tak lepiej a tak trza, a tam- to nam nie wyjdzie na dobre, to ci mówia jakby wszyscy bracia byli. I tak nierz na nich pozieram: co się z tym narodem porobiło. Koj się

dawne swary podziaty, toć to przecie jedna familia. Tak mi się nierz wi- dzi jakoby się świat powiększył i strachu nie mam przed życiem.

Sieciech siedział na koleśnicy, pa- trzył w ziemię, bawił się lancuskiem i milczał.

Kubis opowiadał jeszcze o siewach wiosennych... o przewodniczącym Gruszcze, o dniówkach obrachunko- wych, Sieciech kiwał głową przyta- kując, a wciąż i niepotrzebnie strzą- szał powiódł z papierosa i milczał. Mi- lczal i później, kiedy szedł za plu- giem, dźwigając w rękach czepligi i potykał się o wyorane skiby.

W przerwie obiadowej zaobroko- wali konie i siedząc na dyszlu, spoży- wali suchy obiad. Władek od czasu do czasu wypowiadał jakieś uwagi — wtedy ojciec podnosił głowę i zapytał: „Co? jak powiedziałeś?” Podczas godzin popołudniowych jakoś nie na- glił syna do poświęceń, często nawet przysiadł nad urwiskiem jaru, wpa- trzając się w zalewiska Nysy, w roz- grzane już, dyszące bułwielinę pod- łoże zagajnika — panowała tu cisza, w której się działo coś niewypowie- dzianego. Sło jakby ze wszystkich stron świata od singich gór, od dy- miejących fabryk, od pociągów, który- miś niedzielnym widnem przecinał okolicę i niebo.

Atoli pod wieczór ojciec zaczął się jakby ożywiać, obierał się, oceniał wrokiem zanurzył klin, kiwał głową z uznaniem. Na godzinę przed zachodem słońca, zdecydował się przerwać pracę, kazał Władkowi zaprzęgać ko- nie do wozu.

I tak dziś nie skończymy.

Powrotną drogą wlekli się krok za krokiem. Konie były zmęczone, nie wzywane jeszcze do roboty po zimowym zastój. Jakoś i ze spół- dzielczych pół konie parami ciągnęły ku Hodorowicom, na samym końcu szedł Kubis. We wsi — jak zwykle pod wieczór — ruch panował ożywo- ny, jakby ludzie na gwałt chcieli za- latwić wszystko co z lenistwa w cią- gu dnia zaniedbali.

Wjechali na podwórze. W otę- mniała na sekundę twarz żony o- oczach — jak się Sieciechowi zmiało — nadmierne wypatrzały, ale nie wyszła na dwór. Władek wy- przągnął konie, rozsupłał lejce i zarzu- cił je na chomonta, po czym napiełił worek obrokiem, usiadł na kobyłę i pojechał oddać ją Drągule. Sieciech tymczasem rozebrał swojego konia w stajni i rzucił mu siano na prze- grzysko. Zanim ruszył do stodoły po obrok usadził ręce w kieszenie i ro- zerwał się po stajni.

Tak, tu zawsze nienaganny porzą- dek, wyznaczane, wyścielone, mi- ły, widły, stolki na swoim miejscu. I tak wszędzie w całym domu, w ca- łej obozie. Nie było kąta gdzieby Maryśka nie wejrzała, nie było rze- czy, której by nie dotknęła. Zdawało mu się, że wszelkie przedmioty są jakby ożywione ręką jego żony.

Na dworze robiło się szaro — na zachodzie różowe niebo zapowiadało na jutro pogodny dzień w stodo- le panował już półmrok. Sieciech na- garzył do kobietki sieczki, wyspał miarkę owsa i wymieszal. Wtedy po- przez uchyloną wrota dostrzegł żonę idącą przez podwórze.

— Maryśka! — zawołał — Stanęła.

— Coś chciał ode mnie?

Nie powstrzymał wezwania, nie ru- szył się z miejsca — patrzył na nią i czekał. Wreszcie opuściła głowę i wolnym krokiem podszła do wrot stodoły.

— No, coś chciał ode mnie? — za- pytała tym razem ciszej, a w oczach jej nieucił wpatrzonych w nie- go, było coś tak smutnego i lekliwe- go zarazem.

— Maryśka... powiedz: chcesz być ze mną? Nie odpowiedziała. Opuściła oczy ku ziemi i poruszyła kilka- krotnie kolanem — zafatowały fa- dy jej spódnicy.

— Maryśka... zrozum, ja nie mogę inaczej. Ja nie tylko do ciebie nale- że. Świat ma prawo do mnie, patrzą- wyciągnął ku niej dłoń. Mam dwie ręce — rodzinie wystarczy jedna. Świat ma prawo do mnie, bo ja mo- gę dużo, dużo zrobić i nie utrzymasz mnie na tej obozie. Mnie wolają, Maryśka... powiedz mi teraz: pój- dziesz ze mną?

Przestła wstrząsnąć kolanem spoj- rzęła mu prosto w oczy i rzekła:

— Ja wiedziałam, że ty postawisz na swoim...

— A ty Maryśka?

— Czy odejść od ciebie? O to py- tasz? Ty i tak nie byłeś w całosci mój. Bo tego drugiego — na wsi, w gminie, w powiecie — prawie nie znałam. Przed dwoma tygodniami kazałam ci wybierać, ja albo spół- dzielnia. Dzisiaj przyszedł raz jeszcze Ligas pod twoją nieobecność. Chciał mnie urobić na agitatorkę własnego meża. Zła się wybrał. Ale dużo opowiadał. Dowiedziałam się, jak na zebraniu przyjęto twoje wy- cofanie się ze spółdzielni. „Politycz- nie się załamam” — mówił ludzie. Inni mówią inaczej — mówił ludzie. Nie wychodziło. Mogłam się cieszyć a nie wleciałam się Ludzie, tak i przeczenie mówią, mieli rację. To nie ja byłam przyczyną. To nie dla mnie się cofnęłam.

— Czarodziejko moja, tylko już te- go nie czaruj.

— Uspokój się, posłuchaj jeszcze. Tyś wycofała z siebie tamtego dru- giego, którego nie znałam. I dobrze wiesz że to byłoby wycofanie zupeł- ne. Jakżebyś mogła nadal być z nim w gminie i poknąć się między ludźmi?

— Maryśka... co ci idzie?

— O co? Wiesz, że ja się zamyka- lam w gospodarstwie, a że umiałam je czarować, jak to nazwałś było ci to dobrze ze mną, choć mało, że ja nie bywałam z tobą tam wszę- dzie.

— To prawda.

(Dokończenie na str. 7)

Po kursie młodych pisarzy w Nieborowie

WŁADYSŁAW UDALSKI

NA NOWYM ETAPIE WALKI
O MŁODĄ LITERATURĘ

Rok 1950 zapowiedział interesujące zjawiska w naszej najmłodszej twórczości literackiej. Na łamach czasopiśm pojawiło się wiele świeżych nazwisk. Rozpoczęła się batalia o dopływ nowych sił z terenu, gdzie wciąż zaostrza się walka klasowa z kulakiem. W ogniu tej walki wyrastał początkujący pisarz — ZMP-owiec, korespondent wiejski, nauczyciel — dla niego samego i dla jego, wsi artykuły w gazecie czy wiersz był orężem w demaskowaniu i rozbijaniu wroga.

Dużą rolę w przyspieszeniu mobilizacji kadry odegrały tu dwie obszerne, zeszłoroczne dyskusje, prowadzone na łamach „Wsi” wokół spraw epiki i kadr literackich. Wypowiedzi na temat epiki wykazywały, że przed tą formą twórczości stają rozległe możliwości. Patoś budownictwa socjalistycznego, rewolucyjna romantyka pracy, współzawodnictwo i racjonalizatorstwo, obraz ciekawych bitew klasowych na wsi i w związku z tym wszystkim rozwój nowego człowieka, który od zaoferowania i biedy doszedł do poczucia, że jest pełnoprawnym gospodarzem kraju — oto szerokie pole epiki. I nie przypadkowo sprawy epiki zbiegły się z walką o kadry. Rozmach naszego planu, podnoszony co rok, co miesiąc, co godzina przez klasę robotniczą wymaga od pisarzy głębokiego znajomości życia, człowieka, jego walki i przeobrażeń. Wymaga bezgranicznego oddania sprawie rewolucji. Kadry dopłynąć wiec mogły tylko z frontu walki, frontu szerokiego na miarę epopei.

Jak wykazywała dalsza dyskusja, nurt kształcenia młodych poszedł częściowo przez szkoły średnie i wyższe; redakcje jednocześnie zaczęły zmuszać do wytrwania przy początkującym. Zjazd w Nieborowie był niejako podsumowaniem dotychczasowych osiągnięć.

Młody pisarz, który dotychczas utrzymywał kontakt z środowiskiem literackim tylko przy pomocy korespondencji z redakcją, spotkał się tu — pomijając rzetelną zastrzyk wiedzy — z doświadczeniem rówieśników i starszych kolegów. Znalazł wiele cennych rad, które wzbogaciły ładunek ideowy jego utworów. Lepiej będzie pomagał ludziom. Wychowywany w zeszłościolate i przez zeszłolatkę, przyczyni się do jej wzrostu i rozwoju.

Zjazd pomógł młodym literatom podnieść wyżej swoją świadomość ideologiczną i artystyczną. Pokazał,

że walka o socjalizm toczy się wszędzie, na każdym kroku, i że to właśnie nie trzeba przede wszystkim dostrzegać. I jeszcze jedno. Ukazał linię stałego postępu.

Jak ją realizować?

Bo na pozór może wrócić wszystko do stanu dawnego, mimo że zjazd jakościowo miał znaczenie przełomowe w pracy młodych. Znow ZMP-owiec wróci w teren, od czasu do czasu coś napisze, poradzi się listownie redakcji i wszystko. A tu czas nie czeka. Jesteśmy wciąż dłużnikami mas pracujących, i trzeba zdać sobie sprawę, że masy w aktywnej, bojowej pracy rosną, podwyższa się ich poziom intelektualny. Rosną wymagania. Trzeba więc pisać i bardziej przekonująco i prościej i przede wszystkim — o nich samych. Więc bitwa o jakość, siłę i wartość artystyczną utworów. Tu nie wystarczy już tylko kontakt z redakcją. Z deklaracji też nie wykrzeszesz cudów. Tworzyć można z materiału, jaki daje znajomość życia i pracy. A więc — praca przede wszystkim. Ale jaka? — Teraz już na wyższym poziomie, bo odpowiedzialność i potrzeby większe. Państwo daje pomoc, Partia i ZMP otaczają opieką. Ale trzeba pomyśleć także, by niedoświadczony jeszcze, a rokujący nadzieję pisarz mógł pracować nierzadko osobiste z wytrawnym znawcą literatury, ze starszym pisarzem. Tak to jest w Związku Radzieckim. Redakcją pism literackich szczególnie powinno zależeć na seminarium z twórczą młodzieżą, redaktorami dzienników na wciąganiu do aktualnej pracy dziennikarskiej.

Przeczytajcie w 36 nr „Literatury” gazety (z 25.III, 51 r.), czego nauczyła Garbatowa praca w charakterze korespondenta. „Gazeta” dała mi możliwość — pisać — objechać cały nasz kraj, spotkać się z wieloma znakomitymi ludźmi i co najważniejsze, spotkać się z nimi praktycznie, przy pracy. Pozwoliło mi to wniknąć w istotę obserwowanych zjawisk.

A o to właśnie chodziło Zjazdowi. Taki cel wychowawczy i taka nauka dla młodych pisarzy. A więc do pracy.

Wzorem — klasa robotnicza — Władysław Udalowski

LESZEK BAKUŁA

PRACA WSRÓD PRZYSZŁYCH KADR

Niezmiennie doniosła dla rozwoju naszej kultury socjalistycznej akcja planowego kształcenia młodych kadr literackich została na dobrą sprawę zorganizowana dopiero w zeszłym roku. Poprzednie wysiłki, sporadyczne, pozabawione ciągłości nie oparte na centralnym i konsekwentnie realizowanym planie, nie przyniosły też poważniejszych wyników. W pierwszych latach powojennych wybiło się wprawdzie wielu interesujących młodych pisarzy, byli to jednak głównie talenty „samorodne”, przejawy pisarskiej „inicjatywy prywatnej”.

Obecnie praca nad kształceniem młodego narybku pisarskiego, nad otoczeniem wszelkimi formami opieki i pomocy początkujących pisarzy ze środowisk robotniczo-chłopskich, nad zapewnieniem im szybkiego i prawidłowego awansu kulturalnego została postawiona na platformie organizacyjnej ZLP i zaczyna przynosić pierwsze rezultaty.

Praca wśród przyszłych kadr literackich oparta została na bogatych doświadczeniach Związku Radzieckiego, gdzie troska o młodego pisarza powołała do życia szereg skutecznych i wypróbowanych form ideowej i fachowej opieki nad jego pierwszymi krokami — zawodowymi. Wyrazem wielkiej łączącej obrady nieborowskiej z nieco wcześniej odbytym zjazdem naszych radzieckich kolegów był serdeczny list wybitnego poety radzieckiego Aleksieja Surkowa, skierowany do młodych pisarzy polskich.

Zjazd Młodych Pisarzy w Nieborowie w dniach 28.III — 1.IV stanowił do pewnego stopnia podsumowanie pierwszego, organizacyjnego etapu tej akcji i miał wyznaczyć linię pracy na przyszłość, co szczególnie wagi nabiera po VI Plenum KC PZPR, które postawiło przed wszystkimi współtwórcami kultury polskiej ważne i trudne zadania w służbie dla narodu i socjalizmu.

Młodzi pisarze muszą już dziś, od razu, wespół ze starszymi stanąć do realizacji tych zadań. Stąd poważny, można niemal powiedzieć żarliwy ton obrad nieborowskich, na których młodzi literaci, łamiąc się ze swoimi niedoświadczeniem, dyskutowali nad problemami, jakie stały przed nimi i środkami, które umożliwiały im podjęcie i realizację zadań pisarza socjalistycznego. W atmosferze gorących dyskusji, toczonych w każdej wolnej chwili, przy obiedzie, nierzadko w nocy — w czasie obrad trzymających uczestników w napięciu tak, że rzadko udawało się zachować formy „organizacyjnej” i spokojnej „debaty parlamentarnej” — można było zrozumieć powagę i prężność

uczestników zjazdu, które mniej wnikliwych obserwatorów prowokowały do wyrażenia zdziwienia, że to zbiorowisko młodziarzy, jakkolwiek dziwnie „pozabawione jest wesołości i humoru”. Dla wielu z nas, synów robotników i chłopów, stojących w obliczu jednego z najpiękniejszych awansów życiowych, jakie ofiarować nam może kultura socjalistyczna, zjazd stanowił może jedno z najgłębszych przeżyć i dlatego trudno się dziwić, że nie miał właściwego zebraniom młodziarzy mieszczańskości charakteru koleżeńskości „zgrzywu”. Zjazd był dla nas okazją do poważnej nauki — i okazję tę staraliśmy się wykorzystać jak najpełniej.

Zaraz po otwarciu zjazdu i zagajeniu obrad przez prezesa ZG ZLP Jerzego Putramenta, tow. Hofman, red. naczelny „Nowej Kultury” wygłosił referat o narodowym froncie walki o pokój i Plan 6-letni. Referat ten, oprócz zagadnień nikałujących z tematu, sformułowanego w tytule wytyczał w niezmiennie interesujący sposób problematykę związaną z warsztatem pisarza. Zagadnienia te znalazły pogłębiony wyraz w innych referatach, wygłoszonych na zjeździe i szerokiej dyskusji.

Młody pisarz, który chce się rozwijać w kierunku realizmu socjalistycznego, musi znać i umieć ocenić najbliższy mu czasowo okres powojen-

nej i cennej, wielowiekowej tradycji literackiej. Kultura socjalistycznego narodu, rozwijając się na nowej podstawie, kształtując się w nowych, głęboko różnych jakościowo warunkach, nie może jednak uroić ani jednego cennego elementu kultury narodu przedsocjalistycznego, musi wchłonąć wszystko to, co najlepsze bojownicy o wolność, szczęście i postęp narodu wypracowali przez stulecia jego historii.

Zagadnienie naszego stosunku do historii i tradycji narodowej jest wciąż jeszcze żywe, gdyż dotychczas jeszcze nie dość rozpracowane w szczegółach, dlatego dobrze się stało, że znalazło ono wyraz w naszych obradach dzięki referatowi opracowanemu przez M. Janion, M. Zmigradzkiego, T. Drewnowskiego i A. Wasilewskiego pt. „Literatura polska w służbie narodu i postępu”.

Tradycja własnego narodu musi być jednak uzupełniona przez twórcze wykorzystanie osiągnięć literatury radzieckiej. Nasz kraj rozwija się w oparciu o przykład, przyjaźń i pomoc ZSRR, a kierunek rozwoju obu krajów jest ten sam: komunizm. Dlatego też wielką doniosłość dla młodego pisarza posiadał referat Melanija Kierczyńskiego, wykreślający linię rozwoju literatury radzieckiej od Rewolucji Październikowej do naszych czasów. W dużej mierze spełnił on rolę zbliżenia młodych do literatury

dnia zjazdu, podkreślając wychowawczą funkcję sztuki, kształtującej żywych ludzi poprzez pokazywanie konfliktów antagonicznych i nieantagonicznych, w których mają brać udział żywi ludzie, twórcy, a nie statysty wygłaszający szereg — słusznych nawet kwestii.

Sporo czasu poświęcono na zjeździe utworom młodych pisarzy. O prozie młodych miał referat krytyczny R. Matusewskiego, a o poezji A. Braun. Nie wszystkie jednak naciągane utwory zostały ocenione, co było błędem dosyć dużym. Młodym pisarzom ogromnie na tym zależało. Warszawscy koledzy dali sobie radę, bo sami scharakteryzowali twórczość pominiętych kolegów, a o tak zwanej prowincji nie było komu powiedzieć.

Na zjazd codziennie prawie przybywali starsi wiekiem i piórem literaci: L. Rudnicki, Z. Nałkowska, M. Jastrun, J. Iwaszkiewicz, K. Brandys, I. Neverly. Sama ich obecność, przysłuchiwanie się wielogodzinny dysputom i udział w nich świadczyło o wielkim zainteresowaniu się i jak najpoważniejszym stosunku do najmłodszych kolegów. Młodzi mieli zaś sposobność i w czasie dyskusji, i w prywatnych rozmowach korzystać z doświadczenia starszych kolegów, dyskutować z nimi konkretne problemy warsztatowe, prosić o robocze wskazówki i ocenę własnych utworów.

Jednakże i starsi nauczyli się niejednego na zjeździe. Niewątpliwie interesującym problemem były dla nich ich młodzi koledzy, których losy życiowe stanowiły nierzadko pasjonującą ilustrację dla sprawy socjalistycznej i kulturalnego awansu w Polsce. Ludzkie doświadczenia często wielkie doświadczenia życiowe, związane są praktycznie z fabryką i wsią, przynoszą z sobą na zjazd sprawy terenu, umiędliwione o jego potrzebach. Do takich należał kol. Kuśmierk, „wieloletni korespondent terenowy, i najmłodszy uczestnik zjazdu ze wsi łowickiej Wiechno, robotnik Gajda ze Śląska i robotnik Piotrowski ze Szczecina.

Młodzi pisarze zdają sobie sprawę ze swych potrzeb i konsekwentnie żądają stworzenia im takich warunków, które umożliwią uzupełnienie ich braków i zapewną jak najszerzą możliwość kształcenia. Koło kulturalne sformułowało na piśmie szereg swych postulatów, żądając m. in. stworzenia na wzór radziecki Instytutu Literackiego jako kuźni młodych kadr, udzielania stypendiów wyróżniającym się w pracy, wydania legitymacji członkom Kół Młodych, czy zaopatrzenia Kół w biblioteczki. Świadczą to, że Koła weszły już w stadium pewnej dojrzałości, która musi za sobą pociągnąć konsekwencje organizacyjne. Niektóre propozycje były co prawda fałszywe lub przedwczesne jak np.: postulat zwolnienia ludzi piszących od pracy przy warsztatach, dla lepszego jakoby wykonania swoich obowiązków pisarskich. Wobec nierównego poziomu pracy Kół wydanie legitymacji wszystkim członkom może być również czynem dość lekomyślnym, jednakże stwierdzenie, że Koła Młodych stały się już dziś istotnym i ważnym elementem naszego życia literackiego.

Palącą sprawą jest jednak ustalenie właściwych form pracy, gdyż niektóre Koła — jak np. lubelskie nie mogą do tej pory znaleźć właściwej i skutecznej drogi kształcenia. Opierając się na doświadczeniach Kół warszawskiego kol. A. Śluci wygłosił referat o pracy Kół, podając jako formę pracy, która przesyła już próbe życia, stałe niedzielne zebrania, na których należy przeprowadzać kształcenie ideologiczne i artystyczne. Kol. Śluci wyróżnił trzy typy takich zebrań: 1) skłoniowe, 2) poświęcone twórczości klasycznej, 3) omawiające utwory członków Kół. Dużym brakiem referatu było jednak pominięcie doświadczeń i osiągnięć, a nawet w ogóle charakterystyki Kół terenowych.

Kol. referent powiedział co prawda (parafrazując): Nie znaczy to, że nie doceniamy pracy innych i. wyznosił tylko Koła krakowskie. Wywołało to pewne rozgoryczenie „prowincji” pracujących najczęściej bez opieki i w bardzo trudnych warunkach. Dopiero w dyskusji delegaci obrazowali nam pracę Kół terenowych i po przełamaniu początkowego „zahakania”, wywołanego przez arbitralność obu „stolic”, zmusili kolegów w długich i wyczerpujących dyskusjach do poświęcenia więcej uwagi terenowemu Kopeckizkowi.

Organizatorzy zdawali sobie sprawę, że popelniono na odcinku „stolica — prowincja” duży błąd. Tadeusz Borowski w końcowym podsumowaniu dyskusji stwierdził, że w czasie Zjazdu ujawnił się szereg niedociągnięć organizacyjnych: nie skontaktowano się uprzednio z kolami, by wskazać im drogę przygotowania się do Zjazdu; poświęcono zbyt mało czasu i trudu, żeby rozpatrzyć szczegółowo twórczość młodych; nie starano się nawiązać dyskusji, tak by właśnie najbardziej potrzebujący pomocy koledzy z prowincji wynieśli z nich maksimum korzyści. Na ogół jednak uczestnicy Zjazdu oceniali go pozytywnie.

Leszek Bakula



Św. Elita wiejska

ny, musi rozumieć osiągnięcia i błędy wydanych podówczas dzieł literackich, zbliżających się do służnych pozycji ideowych i artystycznych. Referat o literaturze powojennej wygłosił w pierwszym dniu obrad kol. W. Woroszyński.

Niemniej istotną dla młodego pisarza jest znajomość naszej bogatej

radzieckiej. Wymienione referaty przyniosły wielką korzyść uczestnikom zjazdu, niejednokrotnie informując ich o nieznanym im faktach i zjawiskach, niejednokrotnie rozstrzygając sporne sprawy. Dyskusje dawały wyraz wielkiemu zainteresowaniu młodych pisarzy dla tych spraw; często żądali oni uzupełnienia podanych analiz, czy rozszerzenia ich na inne pozycje literackie. Dyskusje byłyby jeszcze żywsze, gdyby, jak zauważył kol. Kogut, koła otrzymały wytyczne jak mają się przygotować do zjazdu.

Jedną z centralnych spraw, które wystąpiły w dyskusjach nad tymi referatami, było zagadnienie „pozytywnego i negatywnego bohatera”, które poddał do omówienia również tow. Hofman. Nabierało ono w pewnych chwilach zdecydowanie kluczowego znaczenia dla obradujących. Nie dziwnego. Jest to dowodem, że literatura nasza staje się coraz bardziej humanitarna, że człowiek, którego wychowanie staje się w epoce socjalizmu jednym z centralnych zagadnień, jest także podstawowym problemem współczesnej literatury. Do młodych pisarzy dociera już świadomość, że nowego „pozytywnego bohatera” nie można wymyślać, nie można zestawiać z konwencjonalnych schematów bardzo jeszcze po mieszczańsku rozumianej „cnoty”, ani z chwytliwym naturalistycznym portretem — pozytywnego bohatera trzeba szukać wśród żywych przedstawicieli klasy robotniczej, ale też i umieć w nich zobaczyć to, co jest istotne, cenne i nowe. Słusznie mówił w dyskusji kol. Gajda ze Śląska, że robotnik myśli czasem i marzy o rzeczach, o których nie śniło się literatom, że on właśnie jest źródłem najpiękniejszych tematów poetyckich — tak jak z drugiej strony bohater literacki może stać się wzorem wychowawczym dla robotników — o ile będzie to żywy i przekonujący człowiek — a nie maszynowa do wygłaszania sloganów.

Nie brakuje jednak i szeregu błędnych wypowiedzi na ten temat, wypowiedzi stwierdzających, że właściwe zrozumienie socjalistycznej typowości i nowatorstwa — a nawet, że właściwe zrozumienie funkcji pisarza w stosunku do klasy robotniczej, nie przeniknęło jeszcze do wszystkich młodych pisarzy, czy krytyków literackich — zwłaszcza pochodzenia inteligentnego. Kilku kolegów krakowskich walcząc z papierowością pozytywnego bohatera ujawniło fakt, że w zasadzie przewyższa im tradycyjny ideał schematu powieściowego „nieprzeladowanego” mnogością problemów i spraw, tak charakterystyczny dla naszej burzliwej rzeczywistości, że zarówno pozytywny bohater jak i postać wroga klasowego chętniej rozwiązuje artystycznie na sposób jakiejś pseudohumanitarnej, wyrozumiałej pobłażliwości dla ludzkiej słabości, że wciąż jeszcze widzą funkcję inteligencji w jej stosunkach z klasą robotniczą. Wszystko to wskazuje na konieczność wzmocnienia pracy ideologicznej w Kółach Młodych i czujna troska o prostowanie takich błędnych i szkodliwych poglądów.

Dyskusję o bohaterze pozytywnym uzupełnił min. Sokorski w ostatnim

RYSZARD JĘDRASZCZYK

OBRACHUNKI POZJAZDOWE

Pierwszy etap drogi do realizmu socjalistycznego nasza literatura już ma poza sobą. Większość pisarzy bowiem zdecydowanie stanęła na gruncie soc-realizmu, jako jedynej metody twórczej pozwalającej prawdziwo i w sposób rewolucyjny widzieć oraz oceniać rzeczywistość. Zainteresowania zdecydowanej większości twórców nowej literatury są obecnie skierowane na stronę współczesnej nam rzeczywistości. Ale osiągnięcia te są z punktu widzenia metody realizmu socjalistycznego tylko połowiczne. Obecnie literatura nasza powinna wejść w wyższą fazę rozwoju. Zaczęła się walka o pogłębienie wyrazu artystycznego dzieł literackich. W tej bitwie o jakość naszej produkcji literackiej udział bierze również młodzież literacka. Można by nawet zaryzykować twierdzenie, że jej udział na duże znaczenie dla pomysłowości rozstrzygnięcia tej kampanii. Wystarczy tylko wspomnieć, że pokazań ilość zeszłorocznych nagród państwowych przyznano właśnie młodym pisarzom. A jaki może być udział młodych w osiągnięciach naszej produkcji literackiej, gdy zostanie im zapewniony prawidłowy start, o tym najlepiej świadczyć coroczne nagrody stalino-wskie w dziedzinie literatury. Mianowicie w ZSRR udział młodych w nagrodach stalino-wskich jest bardzo znaczny i z każdym rokiem jeszcze wzrasta. Dlatego dla rozwoju naszej literatury sprawą wewnętrzną jest planowy i staty dopyty nowych sił. Temu zagadnieniu przede wszystkim był poświęcony Zjazd Delegatów Kół Młodych Literatów, który odbył się w dniach od 28 marca do 1 kwietnia br. w Nieborowie pod Warszawą.

W ustroju kapitalistycznym dopływ nowych sił do literatury odbywał się i odbywa w sposób nieorganizowany, samorzutnie. W takich warunkach do literatury dochodził tylko najświeższy, co bynajmniej wcale nie znaczy najbardziej utalentowani. Dochodziła zwłaszcza ci, którzy potrafili sobie torować drogę łokciami, którzy byli zamożni lub ci, którym się poszczęściło. Obecnie z tym systemem radykalnie zerwano. Zdemaskowano jako idealistyczną brednię twierdzenie, że w twórczości artystycznej o wszystkim decyduje wyłącznie talent, którego rozwój miał się rzekomo odbywać z pominięciem czynnika pracy. Zrozumiano, że nowe kadry literackie trzeba sobie wychowywać w sposób planowy i zorganizowany, podobnie jak to ma miejsce w innych dziedzinach życia.

W tym też celu w gruncie całego roku powołano do życia przy terenowych oddziałach ZLP tzw. Kola Młodych Literatów. Dotychczas bowiem taka istniała tylko w Warszawie i Krakowie. Nareszcie więc znalazł się wyjście z bezradnej sytuacji, w której sytuacja na odcinku nowych kadr literackich. Zadania Kół i ich rola w naszym życiu literackim są duże. Dlatego do niewybaczalnych błędów organizacyjnych Zjazdu w Nieborowie należy zaliczyć fakt, że organizacja Kół i pracy w nich poświęcono niewiele miejsca. A przecież to dwa zagadnienia są największą bolączką kół terenowych. O tym zresztą dowiedzieli się organizatorzy zjazdu z wypowiedzi delegatów tych kół. Bez pomysłu na rozwiązanie strony organizacyjnej Kół nie będą się one mogły należycie rozwijać. Dotychczas praca w Kółach (mówię o terenowych) odbywała się w sposób bezplanowy, od przypadku do przypadku. Wszystko pozostawiono inicjatywie i pomysłowości zarządców Kół. I tylko od zdolności organizacyjnych członków zarządów zależało czy Koła te pracowały owocnie i z jakimi takimi wynikami, czy też wegetowały beczynnie. Dotąd praca w Kółach najczęściej sprowadzała się do dyskusji nad utworami członków Kół. Niektóre Kola (np. Poznań) urządziły poza tym wieczory autorskie w świetlicach fabrycznych, inne znowu, jak np. Katowice, ściągali do siebie prelegentów z odczytami ogólnoliterackimi. Te metody pracy w dotychczasowej praktyce okazały się mało efektywne. Aby rozwój ideowy i artystyczny młodych mógł się odbywać pomysłowo, trzeba koniecznie rozszerzyć i pogłębić pracę w Kółach.

O potrzebie tego zabiegu świadczy choćby przykład Kół warszawskiego. Jest ono czołowym Kolem Młodych Literatów w Polsce. I tę prawdę jeszcze raz dobitnie potwierdził zjazd w Nieborowie. Rozwój członków tego Kół odbywa się w tempie dla członków Kół terenowych niedostępnym. Być może — jako warszawskie grupy w sobie większe talenty. Ale nie tylko to jest przyczyną jego szybkiego rozwoju. Warszawskie Koło Młodych posiada wyjątkowo pomyslnie warunki. Przede wszystkim składa się na to: bezpośrednie oddziaływanie naszych wybitnych pisarzy na członków Kół oraz ciągły i bezpośredni kontakt z redakcjami czasopism literackich. Tych wszystkich warunków nie posiadają członkowie Kół terenowych. Współpraca starszych kolegów z ko-

łami jest tutaj dorywcza (o ile w ogóle ma miejsce) i traktowana jest przez tych pierwszych niepoważnie, ot, tak, na odczepnego. Jeśli już taka współpraca istnieje, to najczęściej członkowie Kół z niej mało korzystają, a na domiar złego w wielu wypadkach muszą przeciwstawić się z tym wpływom błędnych teorii, szerzonych przez swych opiekunów. Wobec takiej sytuacji kołom terenowym konieczne jest potrzebna jest pomoc z zewnątrz. Najbardziej przydatną pomocą do udzielania tej pomocy są redakcje pism literackich. W ZSRR już od dawna redakcje pism spełniają rolę wychowawczą młodych pisarzy. U nas ostatnio, właśnie po zjeździe nieborowskim, jedynie redakcja „Wsi” podjęła do tej sprawy w sposób konkretny i poważny. Żywić duże nadzieje na przyszłość. Tyle w ogólnych zarysach zjazd ujawnił w wale nieróżnorodnych losów terenowych Kół Młodych Literatów.

* * *

A teraz zadajmy sobie pytanie, co młody pisarz winien jest Zjazdowi? W ciągu czterech dni obrad, mających charakter seminarijny, wygłoszono wiele referatów. Wszystkie one, jedne w mniejszym, inne w większym stopniu, wzbogaciły wiedzę młodego pisarza. I tak referat o literaturze polskiej w służbie narodu i postępu nakreślił szerszą linię rozwoju tej literatury poprzez stulecia. W ten sposób młody pisarz poznał tradycje naszej narodowej literatury i jeszcze raz upewnił się, że jej wielkość polega przede wszystkim na tym, że trud, pisarski największy jej przedstawicieli zawsze służył narodowi. Młody pisarz, który ma ambicję włączenia się w twórczą walkę swego narodu o wykonanie najbardziej dziś dla nas istotnych zadań, a więc o realizację Planu Śześcioletniego i ugruntuowanie pokoju, musi wiedzieć w wielkich pisarzach narodowych minionych epok swych poprzedników i nauczycieli. I jeżeli chce dobrze spełniać swe zadanie, musi uczyć się u nich nie tylko rzemiosła literackiego, lecz przede wszystkim żarliwości w służeniu służnej sprawie. Niestety musimy stwierdzić, że przed młodym pisarzem, chcącym sięgnąć do dorobku literackiego przeszłości, piętra się wciąż duże trudności. Dotychczas zrobiono bardzo wiele w zakresie wydań klasyków. Udostępniono puściznę literacką najwybit-

niejszych pisarzy. To jednak jeszcze nie wszystko. Praca naszych edytorów nie sięgnęła dostatecznie w głąb polskiej tradycji kulturalnej, by wydobyć w osobnych, łatwo dostępnych wydawnictwach to, co było tendencyjnie przemilczane lub zafaturowane przez burżuazyjną historię literatury. Człowiek zamieszkały na prowincji nie będący fachowym historykiem literatury nie ma możliwości sięgnięcia do źródeł, a wydawnictwa przeważnie nie pozwolą mu wyrobić sobie słusznego poglądu — by przytoczyć pierwszy z brzegu przykład — na nurt plebejski w piśmiennictwie w. XVII, na tzw. poezję jacobinińską w. XVIII, czy postępowy udział literatury krajowej w. XIX. Jedynym na razie wyjściem z tej kłopotliwej dla młodego pisarza sytuacji jest sięgnięcie do wypisów z literatury przeznaczonych dla wyższych klas szkół podstawowych. Przykre! ale niestety tak jest.

Ta sama sytuacja panuje również na odcinku poezji ludowej. I choć mówi się przy każdej okazji i mówiono również na zjeździe w Nieborowie o tym, że nasza poezja powinna sięgnąć po wzory do poezji ludowej — dotychczas jednak nie ma nowoczesnego wydania, które by mogło udostępnić szerokim rzeszom niefachowcom bogatą i jakże ważną dla tradycji kulturalnej narodu socjalistycznego puściznę pieśni, baśni, gadek i opowieści ludowych. Te dwie sprawy: udostępnienie młodemu pisarzowi dorobku naszej narodowej tradycji literackiej i utworów poezji ludowej należy uważać za bardzo pilne. Zwalczając tą drugą sprawą, leżącą dotychczas w hańbiący sposób odłogiem, powinien się ktoś wreszcie zająć!

Skoncentrowałem swoją uwagę przede wszystkim na rozwoju naszej literatury po wojnie, na instytucji Kół Młodych Literatów, na sprawie naszej narodowej tradycji literackiej i poezji ludowej. Zjazd w Nieborowie był jednakże o wiele bogatszy. Ale wydaje mi się, że zaagregowane tutaj zagadnienia to sprawy o pierwszorzędnej znaczeniu dla dalszego rozwoju nie tylko młodych pisarzy, ale naszej literatury w ogóle. Bitwy o pogłębienie wartości artystycznej naszych dzieł literackich, kierujących się metodą realizmu socjalistycznego, nie będziemy w stanie wygrać i bez politycznego rozwiązania wyżej poruszonych spraw.

Ryszard Jędraszczyk

Józef Pogan

Orkan okrażony

(Głos w dyskusji)

W 14 numerze „Wsi” Edward Po-
chroń omawiając powieść Władysław
Orkana „Komornik”, po-
wszystkim ciekawym i słusznym
uwagami — popłynął w stronę
jednego z nich. Błąd, który popełnia
niemal wszyscy przy omawianiu
„Komornika”. Mianowicie za-
wyczaj ekspresjonistyczne zakorze-
nienie powieści (skłama i psychizna kapi-
tulała młynarza Chyby: „Długo mi
tu wszyscy na tym świecie komor-
nicy...” (zwala się na ograniczoną
ideologiczną Orkana. Cnoc uwagi w
braku politycznej uogólnienia mło-
dego Orkana są słuszne, ale niez-
godnie były też inne przyczyny nie-
trafności zakończenia książki. Po-
szukajmy klucza do tej dziwnej za-
gadki.

Orkan pisał „Komorników” będąc
młodzieńcem. Oczywiście, że nie mógł
być politycznie wyrobiony (bez roz-
nicy w jakim kierunku — nie o to
tu idzie). Znał tylko z doświadczenia
ówczesną wsi i spróbował ją w
„Komornikach” odwzorować. I bez-
sprzecznie oddał jej (epię), gdy-
by nie wpływy z zewnątrz. Realia
życiowe przedstawione w „Komor-
nikach” świadczą wyraźnie, że Or-
kan widział rozwarstwienie klasowe
wsi i zdolny był do konsekwentnego
przepracowania rozpoczętej akcji.
I gdyby nie owe wpływy z zewnątrz
(o czym pomyśl) — Orkan, jako pi-
sarz „nieupolityczniony”, byłby po-
przezł na realia i — nie wy-
stąpiłby z tego — sąd posta-
wiałby czytelnikowi. Tak za-
wyczaj robią sumienni debiutanci.

Główny bohater „Komorników”,
bogaty młynarz Chyba, jest „rozpo-
stawiony” z jednej strony wychodzi
pusty, z drugiej — wychodzi pełny.
Wiadomo, iż zdarzają się
rodzice mordujący dzieci, ale w
złoty wiek, podług charakteru.
Kulak jest normalnym jak każdy
inny, człowiekiem i cieszy się z wy-
naleziska dziecka, dzięki któremu
jeszcze bardziej mogłoby usilnie
długo i zbijać majątek. Wyjątkowo,
okrutny morderca swego syna, młyn-
arz Chyba nadaje się raczej do
powieści sensacyjno — kryminalnej,
a nie do realistycznej, jako typowy
przedstawiciel klasy społecznej.
Wierzę, że na co on w tym wy-
mierzony był Orkanowi potrzebny?
Odpowiedź chyba jasna: potrzebny
był dla ukazania „podłości” ludzkiej
natury, która jest właśnie przeszko-
dą do zaprowadzenia w świat
sprawiedliwości społecznej. To kła-
rykalno-endeckie hasło grzmiało
dawniej głośniejszym echem. Można
to streścić w ten sposób: „jakże tu
sądzić Chybę za krzywdę biednych
Margoški i innych, kiedy on nawet
własnego syna zamordował... Każdy
człowiek może zachować się mniej

więcej podobnie... każdy chciałby
też światowej mamoty i nawet oie-
uak, gdy się urodzi majątku, staje
się gwałtownie poprzecznicem swych
współczesników... Wierzę, że
klausowa nie tu nie pomoże, a tylko
naprawa ludzkiej duszy poprzez
chrześcijańską miłość ołtarza...
I niezupełnie bogaty Chyba ka-
rei zostawia częściowo powołany. Czy
przez Orkana? Zapewne nie! Przy-
wiodła go kilka opiekunów mło-
dego aorze zapowiadającego się po-
zyczącego pisarza, „francuska
Sznaciara. Niejedną gotów spłaca
z osurzeniem: „skąd takie oskar-
żenie? Władnie z „Komorników” —
to się wyczuwa, jak również opi-
ram to na innym autentycznym
przykładzie — na przykładzie...
inaczej „Ugorów”...

Książkę napisał w 1941 roku
przy takim (można powiedzieć ro-
wnym Orkanowi) wyrobieńtu ideolo-
gicznym. A przecież ukazane ooru-
mają i będą miały swą wymowę
ideologiczną, oprócz dwu koncowych
rozdziałów. One to, aczkolwiek
przez mnie opracowane, są duchow-
nym dziełem mieszczańskich „uty-
czek” — moich ówczesnych opieku-
nów z miasta. Według nich „Ugory”
były zbyt czarne, drastyczne i pesy-
mistyczne i należało je w zakończe-
niu „zoptymizować” choć paroma
zaskrzakami moralności, spręparow-
anymi z pańskiej filantropii wobec
„ciennego i podłego ciotostwa”.
Gadali, tłumaczyli, uczyli mnie, a
i wyszło... sprzeczne z faktami, mo-
imi przekonaniami i zamiarami —
dziś — zakończenie J. R., L. R.
S. B. i P. J. pamiętała do doskona-
le! Gdyby jednak nie ich opieka, ca-
łość książki miałaby jednakowy
wydźwięk społeczny. (Zaciążyło to
również na „Cierpkim owocu”). Czy
więc i z Orkanem nie stało się po-
dobnie? Młody był, nieświadomio-
ny społecznie. Okrażyli go sprytni
ludzie i uświadomili jego bohaterowi,
bogatemu Chybie zbrodnicze in-
stynkty, a po przestępstwie kazali
mu bić pokornie czołom o ziemię i
wykrzykiwać mistyczne hasła o ni-
kości doczesnego życia... o bezsensie
walki klasowej... itd. Potem zwala
się to na „ograniczoną ideologicz-
ność” Orkana. Oczywiście, gdyby był
wyrobiony politycznie, miałby swój
sąd i nie dałby się zabłądzić. Ale
również bez upolitycznienia mógłby
— (jak to w całej książce wykazał)
dać trafne i zreczne zakończenie.
Nawet był może pobożna Jagmiesz-
ka wysłałaby inaczej, czyli całkiem
realistycznie. Niestety, widocznie i
pańska interwencja nieco wykosła-
wała. Nie wykoszalała jednak sa-
mego dzieła. Czytamy je i interpre-
tujemy nie według ówczesnych u-
rządów, lecz według najlepszych i szla-
chetnych intencji autora.

Józef Pogan

Piotr Chmura

Siekierę na kijek?

W ostatnim numerze „NOWEJ
KULTURY” (14) kilku pisarzy za-
mieszczało SPRAWOZDANIA ze spó-
dzielni produkcyjnych, jakie odwie-
dzili niedawno. Trzeba trafiać, że o
jednej z tych spółdzielni („Wspólny
siew” we wsi szczecińskiej, Kani.)
również i u nas we „Wsi” (i też w
poprzednim numerze) znalazło się
sprawozdanie KORESPONDENTA.
Można je porównać i nawet należy.

Dlaczego? Nasz korespondent nie
jest literatem, jest pracownikiem
gospodarczym, ale ukazując w liczb-
bach drogę rozwoju spółdzielni i jej
osiągnięcia sygnalizował, że pod ta-
kimi „liczbami” osiągnięć i planu
spółdzielni widać naród przemienia-
jący i przemieniający się. Szanowni
pisarze, przybądźcie do wsi Kania i
napiszcie o tej przodującej spó-
dzielni... Sprawozdanie zaadresowa-
wał do pisarzy. I na dniach otrzy-
mał odpowiedź pisarza w postaci —
ZŁOBOWANEJ NOTY KORE-
SPONDENTA. A przecież kiedy my-
ślimy o pisarzach, nie o taką nam
idzie zamiana ról.

Nasz korespondent nie tylko adre-
sował swoje sprawozdanie do pisa-
rzy. Postawił problem, który ni-
dłowieś literatom, że w tej spó-
dzielni znajdują dla siebie pisarski in-
teres. Sprawozdanie autora w „NO-
wej Kulturze” jest również gospo-
darcze, acz przy użyciu uboższego
materiału dowodowego. A jego te-
zy w gruncie rzeczy nie stawiają
problemu ani dla pisarza, ani nie dają
o nim wyobrażenia czytelnikowi.

Oto one: 1) „Co cełuje spółdziel-
nię w Kani? Przede wszystkim rzu-
ca się w oczy jej rozmach i plany
na przyszłość”. 2) „Nie ma porów-
nania jednak między tymi ludźmi,
którzy przed laty stawiali tu pierw-
sze kroki jako osadnicy, a tymi,
którzy dziś czują się nie tylko go-
spodarzami tej ziemi, lecz i gospo-
darzami całego kraju”. 3) „Wię-
kszość z nich prosi się o szkie-
charakterologiczny”.

To są tezy, „na słowo honoru”. Nie
dowiedzione, nie uplastycznione! Ta-
kimi założeńmi można obdarzać
każdą wieś, każdą spółdzielnię. Te-
go starają się już, nie robić, nawet
korespondenci. Te tezy, po-1) nie-
dowiedzione przez pisarza; po-2) za-
szerokie — bo ramowe, nie stawia-
ją jeszcze problemu. A tego mamy
prawo żądać od pisarza.

Nasz korespondent postawił pisa-
rzom pytanie podstawowe: „odkry-
tajemy sukcesy spółdzielni”? Dla-
czego? Bo po 1) (streszczam) spó-
dzielnia w ciągu 1950 roku wciągnę-
ła całą wieś, po 2) 20.000 robotni-
ców mówi o pełnej pracy
wszystkich, 3) osiągnięcia gospodar-
cze i plany wysuwają ją na czoło-
wość polityczną, 4) osiągnięcia gospodar-
cze i plany wysuwają ją na czoło-
wość polityczną, 5) osiągnięcia gospodar-
cze i plany wysuwają ją na czoło-
wość polityczną.

Nasz gospodarczy korespondent
pokazał LUDZI. Są oborowi, dojark-
i, opiekunki cieląt, świńarki. Bo
„Wspólny siew” to wielka fabryka
o zróżnicowanych funkcjach, gdzie
chłop i chłopka na miejscu i na ro-
li przemieniają się w robotników
określonej dziedziny i specjalizacji.
„Ile przysądzić musieli w sobie
przelamać dojarkę. Kędziarska, aby
nauczyć się myć ręce przed każdym
dojeniem, stosować masaż wzdłuż,
myć i czyścić krowy i „urządować”
w białym fartuchu, niby felerzer”.
Brygadziery zobowiązują się w imie-
niu swych ludzi, „z którymi długo
się naradzali” stanąć do wspólnego
wodniactwa brygad. I tu liczby i roz-
daje upraw, które będą zawsze
graty i w sprawowaniu i opowita-
daniu. Bo czymże wypełnić i do-
wieść tezy „nie ma porównania
między tymi przed laty, a tymi dzia-
siami”, albo że „większość z nich pro-
si się o szkie charakterystyczny”.

Nasz korespondent też na półtorę
szpalicy potrafił zmieścić i owe
szkie „charakterologiczne”. Rzęsą,
spółdzielcy ogrodniki, tak mówi na
naradzie: „Ani ja, ani moi ludzie
nie chcą być pośmiewiskiem dla
podwarszawskich ogrodników. Po-
wiem krótko. Zarząd planuje 225 q
pomidorów z 1,5 ha, a my mamy
300 q — itd. by słowa o naszych ka-
lajach dźwięka daleko za na-
szym powiatem”.

To jest sprawozdanie — proble-
mowe — korespondenta. Kończy je,
przypominając, że pod jego liczbami
„kryje się zbudzona energia mas
chłopskich, w nich się wyraża droga,
na którą rewolucja pociągająca
chłostwo, wyraża się nagromadzo-
ny kapitał nowych doświadczeń, w
jakie dyktatura proletariatu wpro-
wadza wieś na przestrzeni pięciu
lat. I ten kapitał teraz inwestuje z
rozmachem”. Zatem pisarzu, odkryj
tę drogę, ten gromadzony przez

pięć lat kapitał doświadczeń, a wy-
jaśnij tajemnicę sukcesu „Wspól-
nego siewu”.

Nie zamieniamy więc ról. Niech-
żo nie będą lekceważeni korespon-
denci, dlatego, że nie są literatami,
a pisarze niech nie dublują kore-
spondentów.

Doskonałą wydaje nam się wy-
powiedź w „Nowej Kulturze” Witolda
Zalewskiego. Już sam tytuł chwytli-
wy i stawia problem! („Poza wspólno-
tą”). Po 1) „Oto zasygnalizowany
miejscowy problem: współzycie
spółdzielców z gromadą i rozrost
wspólnoty”. Po 2) „Na jakim etapie,
czyli w świetle jakiej sytuacji? Za-
lewski, świadomy pisarz, przypomni-
a i referat tow. Zambrowskiego i do-
rośnięcie średniaka do „figury
centralnej”. Milejów świetnie pra-
cuje gospodarczo, „dlaczego więc
spółdzielnia nie promieniuje na ze-
wnątrz”, dlatego nie przyciąga po-
zostałe części wsi? A „walka o roz-
wój istniejącej już na wsi spółdziel-
ni to ciężki boj o średniaka. Wspól-
notę zwykłą zakłada biedota, śred-
niak często w większości pozostaje
na zewnątrz...”.

Takie właśnie błędy popełniono w
Milejowie”.

Taki głos pisarza stanowi małą
lekcję w szkole pisania, jakiej po-
trzebują młode kadry i o którą też
się dopominają. Taki głos i czytel-
nika organizuje i koncentruje na
tym, co NOWE, co można ODKRYĆ
w konkretnej spółdzielni jako jej
specyfikum i co ma równocześnie
wzrost współczesnego problemu o
szerszym znaczeniu.

Zalewski otrzymał nagrodę w
ubiegłym roku za „Traktory zabę-
dą wiosnę”. Za książkę, której ro-
dzaj literacki nie został w ocenach
krytycznych ostatecznie ustalony.
Krytycywno się na nią, że zbyt „re-
portażowa”. Sądzimy, że po prostu
jest ona zbiorem reportaży. Te re-
portaże sięgają i do formy powieści,
ale również nie stroną od publicy-
styki. To by różniło Zalewskiego od
Kuśmierka.

I proszę teraz te reportaże poró-
wnać z „Kampanią” Kowalewskie-
go „Przy budowie” Konwickiego.
Reportaże po roku bardziej wytrzy-
mują próbę czasu. Bo w nich jest
historia i wiedza o przemianach na-
szych pedających dziełach. 1949 rok
w spółdzielniach i w akcji łączności
jest u Zalewskiego, jak trzon sie-
kieni osadzonej mocno na głowicy
człerech wcześniejszych lat. Ludzie
i sprawy mają tam swoją narasta-
jącą etapami przeszłość.

Wniosek ostatni — jaki bityśmy wy-
snuwali — to REPORTAŻ a nie KO-
RESPONDENCJA. Reportaży ocze-
kujemy aktualnie od pisarzy z ich
wyjazdów terenowych. Tu od pro-
blemu nie uciekniemy, od materiału
dowodowego również. Dlatego Za-
lewski, zaprawiony w tej szkole, w
ciągu tych samych paru dni obja-
du, w przeciwnieństwie do pozosta-
łych autorów, postawił PROBLEM.
A jakże pisać bez tej podstawowej
umiejętności?

Piotr Chmura

Marcin Wielgus

„Co robotnicy czytają najchętniej?”

GAZETA KRAKOWSKA o-
głosiła wyniki małej ankiet-
y i studiów na temat czy-
telnictwa prasy, czytelni-
ków i ich postulatów. Oto kilka cha-
rakterystycznych odpowiedzi na pyta-
nie: „co czytają najchętniej w ga-
zecie”.

Robotnik Nowej Huty, aktywista
partijny mówi:
„Czytałem wszystko o Hucie i in-
nych obiektach Planu 6-letniego,
zagadnienia partyjne, zagadnienia
międzynarodowe”.

Kierownik działu pracy i placu:
„...malo czytałem, tylko tytuły, do-
jeżdżam do Wieliczki, czasu zostaje
malo...”.

Robotnik „FABLOKU”:
„...chętnie czytam felietony i takie
artykuły, gdzie są dialogi i opisy, a
także takie, gdzie jest mądra kryty-
ka”.

Górniki:

„...o mojej kopalni i inne, cieka-
wsze zwłaszcza zagadnienia ze swia-
ta, jak się walczy o pokój”.

ZMP-owiec z Młodzieżowego Do-
mu Kultury:
„...o młodzieży z innych krajów —
tak mało się o tym pisze, powieść w
„Sztandarze Młodych” z życia mło-
dych robotników”.

Urzednik WRN:

„...informacje polityczne, kronika
miejska, sprawy bytowe, uchwały
naszego radu i partii, najważniejsza
publicystyka”.

Znamienne są szczególnie wy-
owiedzi robotnika z „Fabloku” i
ZMP-owca. Najchętniej czytają oni
w prasie materiały w formie zbele-
tryzowanej — szukają w prasie —
literatury. Felietony, reportaże, po-
wieści, form żywych — obrazowych.

Charakterystyczna jest wy-
owiedź sekretarza — oddziałowej or-
ganizacji partyjnej w Nowej Hucie:
„...czytałbym wszystko, gdyby był
czas, ale często nie starczy mi czasu
na dokładne czytanie. Wiece — ro-
boty huk!”

Edmund Niziurski

Czy tak o nauczycielu?

Otrzymałmy od naszego korespon-
denta z Wieliczki artykuł pt. „Jak
zostałem nauczycielem”, opisujący
życiorys pewnego nauczyciela z po-
wiatu krakowskiego. Temat ciekawy
— droga awansu społecznego bied-
niackiego chłopaka wiejskiego z gmi-
ny Kozmice Wielkie. Cóż kiedy ko-
respondencja wysłała nieciekawą,
jest nawet redakcyjnie bezwartości-
wą. Co się stało? Dotykamy tutaj
jednej z podstawowych trudności
niektórych korespondentów — wła-
ściwego ustosunkowania się do ma-
teriału korespondencyjnego.

Co zrobił z swoim tematem ko-
respondent z Wieliczki?

Widzicieś zapewne nieraz mapy
tras sportowych. Otóż co pewien czas
na linii trasy znajduje się kółeczko
oznaczające koniec danego etapu.
Oczywiście jeśli wyliczymy tylko te
kółeczka, będziemy mieć pojęcie o
długości trasy, jaką zawodnik prze-
jechał — ale nie więcej. A przecież
o wygranej decydowała cała długa
linia trasy, tam zawodnik pokonywał
trudności, tam walczył. — Kółeczko
to tylko znak wygranej — a my
chcielibyśmy się dowiedzieć, jak walc-
ka przebiegała, w jaki sposób za-
wodnik zwyciężył. To jest tajemni-
ca, która interesuje czytelnika. We-
cie do reki jakąkolwiek powieść czy
opowiadanie — a przekonacie się, że
pokazują one właśnie takie przebie-
gi. To się w utworze literackim na-
zywa akcją.

Tymczasem u naszego korespon-
denta z Wieliczki pokazany jest ty-
ko taki właśnie schemat drogi. Po-
kazane są zewnętrzne rezultaty pra-
cy i walki, punkty, które oddzielają
etapy jego drogi życiowej.

Skończyły się te czasy, kiedy wy-
starczyło pokazać palcem — ten chło-
pak pisał gęś, a teraz jest nauczy-
cielem, by budzić podziw (lub zgor-
szenie) burżuazyjnego inteligenta.

Wasz chłopak z gminy Kozmice,
który został nauczycielem już nie
będzie sensacyjnym wypadkiem — a
Wasz komunikat — objawieniem. Ta-
kich wypadków są dziś tysiące, ta-
ka droga staje się typowa. Ale wła-
śnie dlatego staje przed koresponden-
tem nowe zadanie. Sama informacja
już nie wystarczy. Trzeba pokazać
problemy. Bo został dobrym nauczy-
cielem to sztuka, a zostać ~~działaczem~~
nauczycielem — jeszcze większa.
Trzeba więc ukazać nauczyciela nie
na końcowych etapach, ale w drodze,
przy dokonywaniu trudności, przy
naprawianiu błędów i wypracowy-
waniu zwycięstw.

Przebieg to co napisał korespon-
denta z Wieliczki mógłby — wymyślić
każdy. Wierzę, że każdy z nas, jeśli
przy biurku. Przed wojną było cięż-
ko — trzeba było pisać krowy, a
dzisiaj dobrze, bo są szkoły, bo mo-
żna się uczyć.

Tymczasem chodzi o co innego.
Korespondent posiada skarb, które-
go mu zazdrościł każdy zawodowy
literat: gruntowna, wewnętrzna wie-
da o terenie. Jeśli ta wiedza będzie
w dodatku rozbudowana świadomością
klasową i polityczną, korespondent
ma wszelkie dane by spełnić z poży-
tkiem swą zaszczytną funkcję.

A kolega z Wieliczki — co?
„Lata biega — to i rozumem przy-
bywa — tak pisze o rozwoju swego
nauczyciela. Nabiera go w szkole i w
codziennym życiu. Świadomość spo-
łeczna u niego w tym czasie wzrasta
z dnia na dzień”. — Kochany ko-

respondencie, chcemy Wam wierzyć
na słowo. Ale są tacy, co im z bie-
giem lat rozumu ubywa. Więc nie
w tym rzecz. To pięknie, że piszecie,
że świadomość wzrasta z dnia na
dzień — ale co z tego? Nie piszecie
ani jak, ani w czym się to objawia.
A tego właśnie od was oczekuje-
my. To nas właśnie ciekawi. A może
uważacie, że odbywało się to w
„biegim lat” żywiołowo — w miarę
jak nauczycielowi rościł wasy?

Piszecie dalej:

„Na początku uczyłem w gromadzie
Polanka Heller koło Skawiny. I tu
znovu piętrzące trudności przela-
mał”. A wy korespondencie znówu
nie przeanalizujcie tu waszej posta-
wy ukrywając najcięższe strony
nauczycielskiego życia. Jakże to by-
ły trudności i jak je przełamał — o
tym trzeba pisać.

A parę wierszy dalej piszecie
znów:

„I jeszcze raz powtórzę — mimo
trudności, na jakie napotykałem w pra-
cy, uzyskałem pozytywne wyniki w
nauce”.

Kochany korespondencie, choćbyś
jeszcze 10 razy powtarzał i zaklinał
się na wszystkie świętości, że Twój
nauczyciel uzyskał pozytywne wy-
niki w nauce — czytnik ci nie uwie-
rzy. I ma prawo. Bo oczekuje od
Ciebie faktów, przykładów, obrazów
tj. pisarskich dowodów twej prawdo-
mności.

A ty chcesz, żeby Ci wierzyli na
słowo, że Twój nauczyciel to ideal.

I jeszcze jedno. — W ten sposób
gubisz niezmierznie ważną sprawę:
walkę klasową.

Twoj nauczyciel pracuje społecz-
nie, uczy dzieci i dokształca się
gdzieś pod szklanym kłosem. Czy-
byś nie zdawał sobie sprawy z tego,
co to znaczy pracować społecznie na
wsi? To znaczy brać czynny udział
w walce klasowej.

Z tym wiąże się następna sprawa.
Historyczność. Od 1945 roku do
1951 wieś nasza przemieniła się. Ina-
czej wyglądała w 1945 roku
inaczej, wygląda dziś. To okres rewolu-
cji. A u Ciebie? Powstałaś da-
ła, lecz wierz mi, one są martwe —
one nie mówią. Więcej powiedzia-
łyby od nich: przebieg reformy rol-
nej, rozwój spółdzielni gminnych,
kontraktacji i skupu, komitetów
członkowskich i Rad Narodowych —
przemiany w taktyce kulaków i po-
stępy pracy partyjnej na wsi — to
są prawdziwe słupy milowe na dro-
dę naszej wsi. Pytasz, co to ma
wspólnego z drogą nauczyciela? Prze-
studuj dyskusję na niedawnym Zjeź-
dzie ZNP.

Będzieś miał słuszne wątpliwości,
czy to się zmieści w krótkiej kore-
spondencji. Ale też nie porywaj się
na pisanie życiorysu nauczyciela na
trzech stronkach. Korespondent
nie pisze o wszystkim, podaje jeden,
dwa lub trzy fakty. Ale muszą mieć
one pełną wymowę.

I jeszcze jedna uwaga. Pisząc ko-
respondencję musimy stale mieć
przed oczyma jej społeczny sens i cel.

Musimy pamiętać po co piszemy,
że piszemy po to, aby dzielić się
doświadczeniami, aby wychowywać i
uczyć pokonywania trudności, aby
zdrową krytyką usuwać błędy z na-
szego życia, aby budzić wolę i en-
tuzjizm walki o socjalizm.

Edmund Niziurski

ŻONA PRZECIW SPÓŁDZIELNI

(Dokończenie ze str. 3)

— A widzisz. To czy tylko ja by-
łam „domowa”?

W tobie też był „gospodarz”. Jak-
by go nie było, to byś na mnie nie
poleciała... na zebraniu gromadzkim
byś się nie wycofała — rozumiesz?

— Maryśka... „Maryśka... jak ty do
tego doszłaś?”

— Kiedy myślałam o naszym go-
spodarstwie, to mi sobie dwie rzeczy
przebiegały, że ciębie się takim, ja-
kie jest, a mogło być trochę mniej-
sze, że ciębie byłam się jeszcze więk-
szym. A druga myśl to była ta, że
masz też gospodarke z osiedlenia i ile
to spraw się złożyło na to, że mamy
tę ziemię i że na niej pomyślnie ży-
jemy. Ja przecież na szkole rolni-
czej byłam...

— Maryśko, kochajesz.

— Nie kochuję, a nie cię całego nie
miałam. I kiedy mi Ligas powiedział:
odratujcie męża, bo będzie musiał się
zamknąć w gospodarstwie, jak w
więzieniu, wiesz co zrozumiałam? Że
bardziej ciebie kocham, niż to moje
rolnictwo na 18 morgach. A ty jak
się cofnęłaś od spółdzielni, czyś nie
zrozumiała, że bardziej ode mnie ko-
chasz własną gospodarke?

— Długoś zrozumiała, kiedyś
słuchał Kubisa z Hodurów. Mówił,
że w spółdzielni, jakby mi się świat
powiększył i strachu nie ma przed
życiem.

— I ty póki byłeś WIĘKSZY od
gospodarza przez to właśnie mnie
kochasz. Przez to, czego ja nie zna-
łam i nie chciałam zwad. I choć nie
znałam tego drugiego w tobie, który
we wsi i w gminie, jak mówił Li-

gas, „przechylniał się do postępu”, to
przecież kontemtem zawdzięczałam to,
że nie miałam leku przed życiem i
kiedy myślę o naszej Krysiu to
samo widzę. Ona będzie rosła, a życie
będzie się zmieniało. Jaki ojciec —
gospodarz — czy ten drugi inny, no-
wy, większy uchroni ją od leku przed
życiem? Powiedziałam Ligasowi, że
poprę jego molestacje, bo wiedziałam,
że ty się nie wywrzeszczysz w so-
bie tego drugiego. A ja chcę mieć
cię całego. Ja muszę mieć cię całego,
bo „gospodarz” przestałby we
mnie władać królową i czarodzie-
kę „Składacalbys Anlos i do bicia byś
się zaczął brnąć za byle drobiazgiem
na twojej świętej własności”.

Kiedysmy z przewodniczącym Pu-
ławskim wchodzili w obejście Stie-
ciecha, uderzył nas niezwykły widok.
Popatrzy — warknął Puławski — ten
wariat świata za żoną nie widzi.
Przekabaciła go na amen. Przez ba-
bę spółdzielnia się odleceła! Niech
go diabli!

Bo też widok był nieporównany.
Oto Stieciechowa wrowota w ramio-
nach męża, a ten okładał ją w kóło
po całym kłepisku, aż słyszka tryska-
ła spod butów. Przy tym ma się ro-
zumieć, całował gdzie popadło.

Puławski roztawiał szeroko no-
gi i krzyknął z pasją:

— Do domu psie fuchy!

Stieciech zatrzymał się, ale żony z
ręk nie puszczał i śmiejąc się od-
krzyknął:

— Do spółdzielni idziemy, władza
ludowa!

Henryk Worcel

ROZMOWY WARSZTATOWE

(Dokończenie ze str. 2)

niez słowami min. Bermana. Kry-
stallizuje się nowy typ działacza wy-
szłego z masy chłopskiej i poczu-
jącego się do odpowiedzialności
za to, co się dzieje nie tylko na wsi,
ale w gminie, powiecie i całym
kraju, działacza, którego horyzont
wybiega już poza obręb gospodar-
stwa własnego i wsi rodzinnej.

Wskazywał na wyniki tych prze-
mian już pół roku temu Prezydent
Bierut: „Mamy już dziesiątki i set-
ki tysięcy młodzi, kobiet i dzia-
łaczy spółdzielczych, społecznych,
gromadzkich, mamy liczne rzesze
korespondentów i potężny ruch czy-
telniczy, kulturalny, sportowy i oś-
wiatowy na wsi...”.

Każdy uczeźwi, czynny i ofiarny
społeczny człowiek, uczestniczący
w spółdzielni, w komisji sklepowej,
w zespole świetlicowym, w straży
pożarnej, w Kole Gospodyń, w ZMP,

w ORMO, w społeczno — kultural-
nym życiu gromady lub gminy, wi-
nien być przez organizację politycz-
ną otoczony troską i opieką... Po-
winien być również otoczony czuj-
ną troską i opieką przez pisarzy.
W nim bowiem widać już uczci-
wość, aktywność i ofiarność patrio-
ty socjalistycznego narodu. Ale ja-
dąc na wieś, których dynamikę o-
kreślał

Józef Czerni

List ze Szczecina

Trzeba powiedzieć otwarcie — Szczecin nie miał dotychczas szczęścia do korespondentów pism centralnych. Czuję wagę tego zdania. Już widzę nawet, jak podnoszą się kolegi głowy wszystkich tych, którzy kiedykolwiek i cokolwiek pisali o naszym mieście czy województwie. Mimo tego nie tracę jednak fantazji. Tych głów bowiem jest niewiele. Kazimierz Kozłowski, Stanisław Telega, Walerian Lachmitt, Czesław Piskorski, Franciszek Gil, Roman Bratny, niżej podpisany, ostatnio Stefan Stępień — oto niemal cała lista autorów piszących o Szczecinie w latach 1945 — 51 na łamach dzienników i czasopiśm: „Warszawa”, „Kraków”, „Poznań”, „Gdańsk” czy „Toruń”. Nazwisk jak widzimy na ogół nie brak, ale korespondencji obecnie nie ma prawie żadnych. Dlaczego? — Dlatego — jak mi powiedział jeden ze starych szczecińskich — że jeden wyuczerpali się, a drugi nie chce pisać. W każdym głupstwie jest część prawdy. Znajdujemy ją również i w tej odpowiedzi. Oczywiście trudno brnąć do słownictwa. Praca korespondenta jest odpowiedzialna, ale ani gorza ani lepsza od innych rodzajów pracy. Jeśli więc motwa o „wyuczerpaniu się” to nie to braku sił czy maraństwa, ale ułupność powiedzielibyśmy z braku organizacji. Pierwszą bowiem przyczyną złej tradycji szczecińskich korespondencji była ich okoliczność: owość z sporadycznością wynikającą z braku stałych redaktorów-korespondentów zamieszkałych w samym Szczecinie.

Najlepsze reportaże i najbardziej znane reportaże ze Szczecina Kozłowski (drukowane w „Przekroju”) — to były przecież tylko „wypadki” miłego gościa, który sfrunął nad Odrę, pomysłował, pogadał i cały zebrany materiał ubrał w dobre skrojony kostium literacki. Były tam i fotografie i piękne metafory, dialogi i refleksje, humor i patos, historia Szczecina i wyzycim jakiegoś robotnika, słowem wszystko prócz jednej rzeczy — prócz uchwycenia na gorąco procesu codziennej walki, codziennych trudów, błędów i zwycięstw nieznanego, z których jednak wyrastają wielkie bilanse tak frapujące swym wynikiem piszących turystów.

Najlepsze reportaże okazały się w ten sposób korespondencjami najgorszego typu. Napisano je bowiem pięknie i żywo, ale tylko raz, od święta, przy jakiejś okazji (przejazd do Międzyzdrojów) lub innej złeczonej wizyty. Nic w tym dziwnego. Miał nad Odrę traktowano w owym czasie jako egzotykę „Zachód” czekający na swoich zdobywców.

Przeciwieństwem dorywczości takich „Listów ze Szczecina” pisanych przez literackich wycieczników — była znowu rzetelność, ale sucha sprawozdawczość, sumaryczne bilansowanie miesięczne lub roczne tego co zrobiono i co zaplanowano. Tak pisali już miejscowi — Stanisław Telega, Walerian Lachmitt i nie wykrywając palcem autor tych słów (por. „Wiś” 1948, 17). Większość z miejscowych korespondentów po takim czasie zamilkła. Jedni nie mając stałego kontaktu z redakcjami utonęli w pracy zawodowej, inni narazili się różnym kacykom, „sparzyli się” i teraz dmuchają na zimne. Zabrakło również ośrodków, który by organizował życie intelektualne.

Jak wiadomo Szczecin posiada kilka wyższych uczelni (Akademia Medyczna, Szkoła Ekonomiczna, Szkoła Inżynierska, Szkoła Morska), ale nie ma uniwersytetu. Pisano już o potrzebie uniwersytetu w naszym mieście dość dużo. Z czasem rozwiązania na ten temat przybrały formy konkretnego projektu — założenia tzw. ośrodka humanistycznego. Później i o tym przestało się mówić. W rezultacie nastąpił stały odływ osiadłych tu pisarzy i ludzi o zainteresowaniach humanistycznych.

Prasa regionalna

„GAZETA POMORSKA” zmieniła nareszcie dodatek literacki p. t. „Nowy Tor”. Dodatek obejmuje 2 kolumny druku i ukazywać się ma co dwa tygodnie.

Pierwszy numer dodatku ukazał się z datą 18 marca 1951 r. Warto się nim bliżej zainteresować, ponieważ odwołania o szczególne wyrażenie problemu życia literackiego na Pomorzu.

Uderza nas przede wszystkim brak dostatecznego powiązania treściowego dodatku z regionem pomorskim. Wiek że utrzymują jedynie artykuły dr. J. Peickochowicz o kadrach literackich na Pomorzu i felieton o stosunkach wewnątrz związkowych Janusza Markiewicza, nie licząc rubryki notatek z życia kulturalnego Pomorza.

Poza tym dodatek nie zareagował na żadne konkretne zagadnienia terenu. Spotykamy się tu z problemem tzw. „dyspozycyjności” i „aktywności”, bez których pismo literackie, a zwłaszcza pismo terenowe, nie może należycie spełniać swej roli.

Problem ten staje się szczególnie jaskrawy, gdy dodatek postawimy na tle macierzystej gazety. W gazecie mamy artykuły gospodarcze, polityczne na konkretne tematy, zrodzone przez konkretne problemy Pomorza. Wydaje się, że właśnie jedną z głównych funkcji terenowego dodatku literackiego jest spojrzeć na te same problemy jeszcze raz z pozycji artysty i uchwycić je literacko. Posłużyć się tu można w szczególności takimi gatunkami twórczości, jak szkice, reportaż literacki, felieton, kronika, a także „dyspozycyjny” opowiadanie. Na te powinno się właśnie rzucać młode

Czyniono wreszcie próby zmontowania „Klubu Literacko-Artystycznego”, ale i to nie wytrzymało próby i spaliło na panewce. Dlatego z prawdziwą satysfakcją mogę obecnie donieść czytelnikom „Wiś” o kilku naprawdę pocieszających faktach z tej dziedziny. Pierwszym z nich jest ukonstytuowanie się w końcu zeszłego roku miejscowego Oddziału Związku Literatów Polskich. Przewodniczącym został Jerzy Andrzejewski, sekretarzem — Witold Wirpsza. Poza tym do zarządu weszli — Roman Bratny, Franciszek Gil i Edmund Osmańczyk. W ciągu paru miesięcy istniejący Oddział zdążył już zorganizować konkurs literacki, na który wpłynęło przeszło trzysta utworów. Będzie to okazja do wyłapania obiecujących talentów wśród młodzieży robotniczej i chłopskiej. Zaopieczni się nimi Koło Młodych, które niedawno założono. Na zjazd w Nieborowie Oddział wystąpił już trzech kandydatów, a mianowicie — robotnika portowego Jąglewica (autora wyróżnionych pamiętników), początkującego dramaturga Daukszę i Henryka Piotrowskiego. Wszyscy trzej będą filarami naszego Koła Młodych. Poza tym Oddział ZLP utworzył jedną sekcję twórczą, której przewodnictwem objął Walerian Lachmitt. Nie potrzeba chyba wyjaśniać, że utworzenie Oddziału ZLP aktualizuje nie tylko samych pisarzy. Przewodzenie Koła Młodych, prace w sekcji twórczej, czynny udział w różnych imprezach i akcjach odczytowych to zalety wielu z liczących możliwości pracy pisarza na tym terenie. I tu przechodzę do drugiej sprawy. Tak głośna kwestia artykułu K. Wojciechowskiego o prowincjonalnych dodatkach literackich ma również i u nas swoją paralelę. Stać Rzeczów na dodatku kulturalnym, czemu to my mamy być gorsi? Otóż u krótkie i Szczecin będzie mieć pierwszy własny dodatek kulturalny. Rodzi się on co prawda dopiero, ale tym większe budzi nadzieje. W związku z tym właśnie odbyła się niedawno w redakcji „Głosu Szczecińskiego” narada aktywów kulturalnego miasta. Zebranie zorganizował redaktor Perkowski. Redakcję dodatku poprowadził młody, ale obiecujący dziennikarz Kosterkiewicz. Co prawda z różnych wypowiedzi na posiedzeniu odniosłem wrażenie, że większość uczestników wyobraża sobie dodatek jako cotygodniowy almanach różnych „kącików” — działów, o których utworzenie walczą: radio i film, muzea i teatr, medycyna i lotnictwo, literatura i muzyka itd.

Korespondencja moja ukazuje się prawdopodobnie równocześnie z pierwszym numerem dodatku. Wtedy będziemy mogli dopiero wydać jakiś pierwszy konkretny sąd. Województwo nasze jest prężne i rozwija się zwłaszcza gospodarczo. Nie mówiąc już o porcie zajmujemy przecież proporcjonalnie pierwsze miejsce w kraju co do ilości spółdzielni produkcyjnych, o bogatym parku maszynowym. W dniu, kiedy piszę ten list, najstarsza nasza spółdzielnia produkcyjna „Wspólny siew” w Kani (pow. Stargard) wezwiała do współzawodnictwa wszystkich członków i członkinie spółdzielni produkcyjnych województwa szczecińskiego i kosałskich. Chodziło mianowicie o podniesienie obszaru zasiewów i upraw w porównaniu z rokiem ubiegłym, o podniesienie plonów z ha, o poza tym o uiniesienie gospodarki, wprowadzenie nowych gatunków produkcji rolnej (pszczerstwo, warzywnictwo, hodowla drobiu) i o uzyskanie lepszych wyników hodowlanych niż dotychczas. W tej chwili również odbywają się w terenie wybory do Zarządów świetlicowych, które mają uaktywnić pracę kulturalno-oświatową na wsi.

Wszystko to czeka na żarliwe i gorące pióro korespondenta.

JOZEF CZERNI

Zachować czujność

Zdarzyło się, że do Domaniwie w powiecie olkuskim przysłano siewniki dla powstającego SOM-u. Postanowiono je umieścić w podworskim spichrzu. A że drzwi były za wąskie, siewniki rozmontowano i wniesiono do wnętrza, gdzie ponownie je zmontowano. Przyszły tegoroczne siewy, potrzebne są więc siewniki. Tylko że przez drzwi w żaden sposób nie można ich wyostać. Rozmontowywać znowu się nie opłaci, bo nie ma na to i czasu i mechanika. ZARZĄD GS-u zebrał się więc na naradę, która trwa z przerwami już kilka tygodni i nie dotychczas nie wymyślił. W każdym razie o poszerzeniu drzwi nie ma mowy. Te, choć wąskie, są przecież tak ładnie zrobione! Może więc dachem wyostać maszyny, może je rozkręcić ręcznie na poszczególne części? Debatają w GS-ie, a tymczasem siewniki i malaroln chłopcy czekają.

Kierownictwo SOM-u w Chłupach Malej wół, 10dzkiego z pompą i Radą zameldowało w Gminnej Radzie Narodowej o przedterminowym przygotowaniu ośrodka do wiosennych siewów. Pech jednak chciał, że nowemu Komitetowi Członkowskiemu przy GS-ie (co za niesłychane praktyki!) spodobało się sprawdzić siewniki, przed oddaniem ich chłopom. I co powiecie? W osmiu siewnikach, na czarnaście, brakowało buków!

A znowu w Szydłowcu w pow. radomskim 13 siewników gotowych czeka daremnie na odbiorców, malarolnych i średniolnych chłopów. Agromon GRN-u, a jednocześnie pełnomocnik do akcji siewnej z gromady Jankowice ob. Adamski nie zawarł do tej pory ani jednej umowy. Nawet w Jankowicach, gdzie jest do obsiania 30 ha u malarolnych chłopów. Tłumaczy się pracą społeczną i brakiem czasu, choć wie, że niewykonywanie siewników na takim obszarze przyniesie poważne straty. Przy siewie rzędowym potrzeba bowiem tylko 140 do 160 kg ziarna na hektar, przy siewie rzędowym zaś ponad 200 kg.

W Jaworznie Górny pow. dębickiego mieszka Jan Kukla. Bogata to jest i osobiwa Kukla, nie czuje sympatii do biedoty. Toteż Kukla protestował gorąco, kiedy mu w ramach pomocy sąsiedzkiej wyznaczono obsłuzenie kilku biedniaków. Choć siewy na tamtym terenie się już zaczęły, Kukla do tej pory z pomocą się nie pokwapil.

Nie lepiej od Kukli sprawił się Kazimierz Maruszcak z Julianowa w pow. opatowskim. Ten miał udzielić pomocy malarolnemu Jakubczykowi. Naturalnie odprawił chłopca z niczym, a gdy ten „poskarżył” się w Gminnej Radzie, rozłoszczony bogacz zażądał od Jakubczyka poważnej sumy pieniężnej za wode, którą biedniak dotychczas czerpał ze studni bogacza. Wtedy dał pomoc.

W powiecie warszawskim leżą dwie wsie obok siebie. Masłowiec i Jestonia.

Chłopi z tych wsi nie zawarli umów z SOM-em. Doszli do przekonania pod wpływem bogaczy, że siewniki SOM-u są za duże na ich wąskie zagony. Kiedy obiecano im przysłać siewniki wąskie, kategorycznie zaprotestowali, bo dadzą sobie radę sami. Siewniki obiecali im już bogacze!

W Pienkiewiczach natomiast, w tym samym powiecie nie przygotowano żadnych planów zasiewów, ani planów pomocy sąsiedzkiej oraz rozprawienia maszyn wśród chłopów. Bogaci powiedzieli, że „przecież front narodowy” to sobie wszyscy jakoś wamienne pomogą. A Gminna Rada Narodowa kułackiemu pomysłowi przyklasnęła.

Kierownikiem SOM-u w Łopusznie pow. kieleckiego jest Marcinkowski. Wspaniały to kierownik, zaiste ze świecą w ręku takiego drugiego szukać. W trosce o siewniki, plugi, broń, — bo przecież mogą się dostać do niepowołanych ludzi, którzy nie będą umieli się z nimi obchodzić — zamknął magazyn SOM-u na „cztery klódk”. Pewny bezpieczeństwa maszyn idzie do kumotów i popija wódkę. Tymczasem plan akcji siewnej leży nieopracowany, umowy dla chłopów spoczywają w szufladzie także szczelnie zamkniętego biurka. A wróg klasowy zaczyna z uciechy rzeć. I to nie tylko w tym przypadku, ale we wszystkich wspomnianych, którymi zmierzają do sparaliżowania wielkiej akcji.

Trzeba wzmocnić czujność! Wróg klasowy, kułacki dział! Kampania siewna to przecież bitwa o chleb, o zwiększenie wydajności z hektara. Hektar musi dać więcej, jak w roku ubiegłym. To jest bojowe zadanie.

W roku 1950 przeciętna wydajność poszczególnych zbóż z jednego hektara wyniosła 13 kwintali. A więc o ponad 3 kwintale więcej niż w roku 1949. W tym roku musimy osiągnąć jeszcze więcej. Pomoc Państwa w tym zakresie jest ogromna. Do akcji siewnej przeznaczono 24.500 traktorów, 63 tysiące siewników oraz 944 tysiące ton nawozów sztucznych. Należy też pomóc w pełni wykorzystać.

Zwyczajna kampania siewna, nie w smak jest kułakom. W bitwie o nią gromadzi się wokół produkcyjnej klasy robotniczej i jej Partii chłopstwo pracujące, ograniczając coraz skuteczniej wysiłki kułackie. Tegoroczne siewy, to także walka o średniaka. O sojusznika. To umacnianie się zarazem frontu narodowego. I kułak chce temu przeszkodzić. Trzeba więc go bić po łapach ile wlezie, trzeba, by czujność zachowały Komitety Członkowski, Gminne Rady Narodowe, Podstawowe Organizacje Partyjne i Gminne Komitety, oraz wydziały polityczne POM-ów. Czujna musi być biedota i ZMP-owcy.

Andrzej Wera

Kułackie „liberum veto”

TEGOROCZNA wiosna, jak żadna chyba inna, daje możliwość dokładnego oglądu metod działalności wroga klasowego na terenie wsi. I tak — wiadomo np. że stare stosowane przed kilku laty metody siania zamiętu przy pomocy anonimowych plotek — na ogół już zanadto. Kułak musi najczęściej występować sam i to bezpośrednio, wobec całej gromady. Trzeba bowiem zdawać sobie sprawę z faktu, że podstawowe sprawy gromadzkie załatwiają chłopcy, tej wiosny — zespolowo, w oparciu o gromadzką plan, Plan ten przewiduje rozmiar kontraktacji, jej zakres, określa warunki i rodzaje pomocy sąsiedzkiej w ramach akcji siewnej, rozwiązuje sprawy przydziału nawozów i kwalifikowanego materiału siewnego. W tych warunkach wróg klasowy przedstawia się interesom już nie poszczególnego drobniolnego czy średniolnego chłopca, lecz olbrzymiej większości gromady — jako całości. Skup zboża, siewy wiosenne, kontraktacja, to etapy powolnego, lecz konsekwentnego wyzwalania się chłopstwa pracującego od wpływów wiejskiej burżuazji. W warunkach wiejskiej oddziaływa kułacka od uszy gromady, wróg klasowy musi stosować specjalne, przystosowane do sytuacji metody walki z gromadą. Ale na skutek nie może już tak łatwo liczyć jak przed paru laty.

Ulubionym chwytom kułackim tego okresu, jest zrywanie zebrania gromadzkich na wzór owych szlachciców, zrywających sejmiki i sejmy. Robi się to w ten sposób, że w określonym momencie zebrania kułacy podnoszą tumult, wzywają ją zamieszanie, no i chłopcy zdenerwowani marnotrawieniem czasu rozchodzą się zadowolony z pomocy sąsiedzkiej.

W Międzyzdrojach, powiatu tczewskiego, kułackie „liberum veto” powiedo się. Gromadzki plan zasiewów

nie został przez gromadę uchwalony. Ale już w gromadzie Masury, gminy Zalesie, woj. białostockiej kułak Zółkiewski nie tylko ustąpił przed malarolno-społeczną presją gromady, lecz równocześnie musiał przyjąć zadania produkcyjne wynikające z gromadzkiego planu.

W gromadzie Zamek Bierzgowski, gminy Lubianka, powiatu toruńskiego, odbyły się aż trzy zebrania poświęcone sprawie zawarcia umów na kontraktację. Wdowa Maria Grzaska, gospodarz na 2 ha zgłosiła 0,5 ha lnu, drobniolny chłop Jan Przybylski zobowiązał się dostawić 0,15 ha kolendry, 0,25 ha jęczmienia, 0,5 ha ziemniaków, 0,5 ha buraków przemysłowych. Za nimi poszli wszyscy średniacy. A bogacze — panowie bracia Wrzosek, Kamiński, Kułacki, Wszelaki! Na pierwszym zebraniu powiedzieli beczelnie i po prostu, że niczego kontraktować nie będą. Na drugim z kolei zebraniu podjęli „rzeczową” i otwartą dyskusję. „Po co teraz kontraktować — urośnie to się sprzeda. Co tam będą gruszeki na wierzbie obliczać, kiedy nie wiem co i jak” — powiedział. A na trzecim zebraniu biedota sama obliczyła kułakom, ile i za ile myślała sprzedać zboża, jęczmienia, owsa i ziemniaków na przednówku. I panowie bracia przegrali z kretelem. W otwartej dyskusji, do której zmusza wroga klasowego sytuacja, przegrywa on coraz częściej.

Takie dyskusje trwają właśnie w 40.000 naszych gromad. Donoszą o nich nieustannie korespondencje naszej prasy terenowej. Czytamy o zdecydowanej postawie biednej wdowy z gminy Lubianka atakującej odważnie sprytnych bogaczy. Leczą czy są to tematy wyłącznie dla terenowego korespondenta, materiał tylko dla suchych notatek PAP-u? Co sądzić literaci o bieżącej na wsi sytuacji, o naszej tegorocznej, niepowtarzalnej wiosnie?

Piotr Pigwa

Bić po brudnych łapach

Najpierw pytanie, jak przedstawia się masa towarowa wyprodukowana przez klasę robotniczą i dostarczana chłopom? Rośnie ona szybko z roku na rok. Tak np. wieś otrzymała tylko w ciągu pierwszych dziewięciu miesięcy 1950 roku w porównaniu z takim samym okresem roku 1949: nafty oświetleniowej o 3 miliony kg więcej, tkanin (bawełnianych, wełnianych i jedwabnych) o przeszło 20 milionów metrów więcej, gotowych ubrań męskich o przeszło 100 tysięcy sztuk więcej, obuwia skórzanego o 1 milion par więcej, węgla o 400 milionów kg, więcej, mydła i proszku do prania o 10 milionów kg więcej itd.

A teraz pytanie drugie: czy ta stale rosnąca masa towarowa zawsze dochodzi do rąk właściwego odbiorcy — mało i średniolnych chłopów?

Niestety nie zawsze.

Np. chłopcy z powiatu jarosławskiego nie otrzymali nawozów, chociaż zostali one wyprodukowane i przewidziane również dla jarosławskich chłopów. Rozpłynęły się podobno gdzieś w sąsiednich powiatach: przeworskim i przemyskim, no, a poszkodowani zaopatrują się w nie „we własnym zakresie” to znaczy placą wysokie, spekulacyjne ceny.

Przytoczona statystyka wymienia poważne ilości gwoździ. Ale tych gwoździ darmo byś szukał w spółdzielni w Dębowej Górze powiatu skierniewickiego. Wbrew temu, co wiemy z fizyki — żelazo ułotniło się.

Z gwoździami niemalże cud, ale z wędliną na terenie gminy sprawa jest całkiem prosta. Pan Stefan Sus kierownik masarni raczy przyjmować do przerobu tylko 4 świnię na miesiąc, a mógłby ponad 20-cia.

We wsi Zabrodzie, powiatu radzyńskiego głośno mówi się o sklepie filialnym Gminnej Spółdzielni ZSCH, Sklepowy, ob. Jankowski prowadzi stanowczo niedobre praktyki. Towary rzadsze sprzedaje wyłącznie bogaczom, za „niewielką opłatą za koszt manipulacji”. Szczęśliwie raporty napisano w gromadzie wskutek owych „manipulacji”. Jankowskiego, Nie pomogło. Aż któregoś dnia przyszła kupić buty córka robotnika Anna Bahowicz, członkini ZMP. Butów oczywiście dla niej nie było, choć każde dziecko w Zabrodziu wie, że towaru

nie ma. Wskazywano na to, że towaru

Za mało troski o świetlice...

W niektórych ogniwach gminnych i powiatowych Związków Samopomocy Chłopskiej rozpanoszyła się „stonka biurokratyczna”, która hamuje rozwój życia kulturalnego wsi w oparciu o świetlice gromadzkie.

Jest jeszcze wiele świetlic wiejskich, których nieregulowana sytuacja finansowa, brak sprzętu, odpowiedzialność kierownika itp. sprawia, że nie są, a przecież mogłyby być wykorzystane.

W gminie Szczecno-Olszanka w powiecie augustowskim istnieje kilka świetlic, niestety często, na papierze. Jedną z tak zwanych „lepszych świetlic” jest świetlica przy GRN w Nowinie z salą, odpowiednich jak na świetlicę wiejską rozmiarów, jasną, z dostateczną ilością światła. Jest stała scena z kurtyną. Jest biblioteka świetlicowa, coś ze 300 to młodych różnych książek. Jest świetlica, ale rola jej niestety ogranicza się do spisanie katalogu książek i do... wygrzewania się przy piecu w Przydydm GRN. Pomimo, że jest spory zasób książek nikt ich nie wypożycza. Może nawet niektórzy nie wiedzą, że są tam jakieś książki. Nie było jeszcze występow artystycznych ani wieczorów świetlicowych, w ogóle nie ma żadnego życia świetlicowego. Biblioteka mieści się po prostu na podłodze w śmieciach za sceną, ponieważ nie ma dotychczas szafy, a Zarząd Gminny ZSCH choć ma na ten cel pieniądze w swym budżecie (co stwierdziłem sam) — nie w tej sprawie nie zrobił. A gdy przejrzałem katalog biblioteczny i znajdujące się tam książki, okazał się w bibliotece brak, około 50 książek i to najbardziej ciekawych, najbardziej popularnych i poszukiwanych książek jak: „Opowieść o prawdziwym człowieku” Polewoja — „Daleko od Moskwy” Ażajewa — „Czapajew” — Furmanowa „Poemat Pedagogiczny” Makareni i całego szeregu innych powieści wydawnictw popularno-naukowych i książek fachowych. Na moje zapytanie, zwrócone do prowadzącej świetlicę gdzieś podzieli się brakujące książki, otrzymałem odpowiedź: „Zostały ukradzione”. Nie ma gdzie umieścić i zamknąć, wobec tego kto chce, to bierz, bo przecież nie mogę dopatrzeć wszystkich! Istotnie, trudno jest dopinąć, gdy książki walają się na ziemi po całej świetlicy. W końcu ubiegłego roku świetlica otrzymała radio głośnikowe. Słuchano ono coś z miesiąca czasu. Nikt się nim nie zapiekował, każdy kto chciał słuchać, kreślił, majstrował... aż w rezultacie radio znalazło się w Przydydm GRN. Niezdatne do użytku. Stoł tam już od kilku miesięcy i nikt nie pomyślał, żeby nim zająć się i naprawić. Za to, przy każdej okazji sekretarz ZSCH, skarży się, że „chyba oszaleje od nawału pracy”... Dobrze by było żeby „oszalał” i pochodził po te-

tego w sklepie nie brak. Ale tym razem trafiła kosa na kamień. Jankowskiego usunęto z szeregu partyjnych, wyleciał pada dzień i z aparatu spółdzielczego.

W Staboszowie, powiatu miechowskiego, pan kasjer ze spółdzielni pracuje w ten sposób: chłopom każe czekać w kolejce już od 5-ej rano na wypłatę, sam zaś zjawia się dopiero około 10-ej. Nim raczy kogoś załatwić, odbywa wprawdzie towarzyską pogawrodkę z pannami sklepowymi. Co zaś do pracy — to postępuje w ten sposób, że np. z listy przydziałów węgla wykreśla biednych chłopów, a wpisuje bogaczy. W ten sposób drobniolny Mieczysław Wawron dowiedział się od kasjera, co następuje: „Was też uważają za bogaczy, bo wam węgla nie dali”. Pan kasjer to sprytny wróg klasowy i nie lada spekulant. Odkryto go.

W Kluczewsku pow. Włoszczowa zarząd Gminnej Spółdzielni ZSCH doszedł słusznie do przekonania, że należało wyremontować skład. Istotnie chłopci otrzymywali zwierzatka od wilgotnej ziemi nawozy, pomieszczone z piaskiem. Kumi w rady, urządzili, że trzeba sprowadzić kilkadziesiąt metrów cementu. Cement przyszedł i zgodnie z prawami fizyki, rozpylił się pomiędzy... pracowników spółdzielni. W rozpylaniu cementu wyróżnił się zwłaszcza pan buchalter. A chłopci nadal otrzymują zwierzatka nawozy.

Dość przykładów. Podaliśmy je w tym celu, aby wskazać, że potężny wysiłek produkcyjny klasy robotniczej, jej wspaniałe sukcesy wytworzone — dyskontuje jeszcze często wróg klasowy.

Ten stan wskazuje na oczywisty fakt, że w potężnym aparacie zbytu i zaopatrzenia na wsi na terenie naszych gmin i gromad jest jeszcze wiele elementów spekulacyjnych i biurokratycznych, które idą w sukurs kułakom. Przypuszczając należy, że wezwanie gen. Józwiaka-Witolda Prezesa Najwyższej Izby Kontroli, zmobilizuje i większy aparat kontroli — w pierwszym rzędzie komitety sklepowe do czujności, do walki z wrogiem na odcinku, który często do tąd pomijano.

Jan Biegala

Wskazywano na to, że towaru

nie ma. Wskazywano na to, że towaru

nie ma. Wskazywano na to, że towaru

nie ma. Wskazywano na to, że towaru

nie ma. Wskazywano na to, że towaru

nie ma. Wskazywano na to, że towaru

nie ma. Wskazywano na to, że towaru

nie ma. Wskazywano na to, że towaru

nie ma. Wskazywano na to, że towaru

nie ma. Wskazywano na to, że towaru

nie ma. Wskazywano na to, że towaru

nie ma. Wskazywano na to, że towaru

nie ma. Wskazywano na to, że towaru

nie ma. Wskazywano na to, że towaru

nie ma. Wskazywano na to, że towaru

nie ma. Wskazywano na to, że towaru

nie ma. Wskazywano na to, że towaru

nie ma. Wskazywano na to, że towaru

nie ma. Wskazywano na to, że towaru

nie ma. Wskazywano na to, że towaru

nie ma. Wskazywano na to, że towaru

nie ma. Wskazywano na to, że towaru

nie ma. Wskazywano na to, że towaru

nie ma. Wskazywano na to, że towaru

nie ma. Wskazywano na to, że towaru

nie ma. Wskazywano na to, że towaru

nie ma. Wskazywano na to, że towaru

nie ma. Wskazywano na to, że towaru

nie ma. Wskazywano na to, że towaru

nie ma. Wskazywano na to, że towaru

nie ma. Wskazywano na to, że towaru

nie ma. Wskazywano na to, że towaru

nie ma. Wskazywano na to, że towaru

nie ma. Wskazywano na to, że towaru

nie ma. Wskazywano na to, że towaru

nie ma. Wskazywano na to, że towaru

nie ma. Wskazywano na to, że towaru

nie ma. Wskazywano na to, że towaru

nie ma. Wskazywano na to, że towaru

nie ma. Wskazywano na to, że towaru

nie ma. Wskazywano na to, że towaru

nie ma. Wskazywano na to, że towaru